Nr. 43. Lwów, Niedziela dnia 1. Lipca 1877 r. Tom V.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya i Administracya:
Księgarnia Polska
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Socyalizm w Polsce.

Opinia publiczna została u nas ostatniemi czasy zaalarmowaną aresztowaniem we Lwowie i w Wiedniu kilku młodych ludzi, podejrzanych o związki socyalistyczne, tudzież wieściami o coraz szerzej rozpościerającej się socyalistycznej pomiędzy ludem wiejskim propagandzie, zaniesionej do nas z północnego wschodu. Nie naszą rzeczą, uprzedzać wyniki toczącego się śledztwa, które dopiero pokażą, o ile pierwsze podejrzenia są uzasadnione, ani też wkraczać w zakres pism politycznych, wykazując aż nazbyt jawną polityczną tendencyą podburzania wiejskiego ludu w imię socyalistycznych haseł. Chodzi nam tu tylko o kwestyą, czy i jaki socyalizm może u nas się rozwinąć i jaki jego stosunek do narodowej naszej sprawy.

Ruch socyalistyczny w Europie podzielić można i geograficznie i pod względem kierunku na dwa wielkie odłamy: zachodni i moskiewski. Pierwszy opiera się przeważnie na stosunkach wytworzonych olbrzymim wzrostem industrializmu, wielkiego fabrycznego przemysłu — na stosunkach, w których robotnicza ludność fabryczna skazaną jest na nędzę materyalną i moralne skarłowacenie, i pada ofiarą oczywistego wyzyskiwania. Krytyka tych stosunków, przeprowadzona przez socyalistów tak genialnych, jak Proudhon, Ludwik Blanc, Marx, Lassale i Karol Marlo — niewątpliwie w *wielu*, choć nie we wszystkich punktach jest słuszną; a sami nieprzyjaciele socyalizmu w swych teoretycznych prawach na polu ekonomii społecznej, wiele z niej skorzystali. Jeżeli jednak z pola teoretycznego zejdziemy na czysto praktyczną kwestyą, jak złemu zaradzić — to widzimy, iż sami socyaliści są tu z sobą w niezgodzie, i spotykamy się, albo z najpospolitszym komunizmem, który byłby zagładą nowoczesnej cywilizacyi, a cofnąwszy ludzkość wstecz nie o wieki, lecz o całe lat tysiące, mieściłby w sobie znowu zarodki nowych kwestyj socyalnych — albo z niewykonalnym programem zamienienia całego społeczeństwa w jednę wielką spółkę produkcyjną, albo wreszcie z bardzo pięknemi mrzonkami, którym do wprowadzenia w życie tej tylko bagateli potrzeba, aby ludzie przestali być ludźmi, a stali się prawie aniołami. Jeden jest tylko wyraźny punkt w dążeniu dzisiejszych zachodnich socyalistów: oparta na powszechnem głosowaniu republika robotnicza, z najobszerniejszym samorządem gminy. Gdyby ten — więcej polityczny niż społeczny program dzisiejszy socyalistów został urzeczywistniony, a państwa europejskie zamieniły się w takie robotnicze republiki złożone z udzielnych gmin, jeszczebyśmy stali przed nierozwiązaną kwestyą emancypacyi pracy, z której powstaćby musiały nowe walki i starcia.

Ponieważ socyalizm ten, którego jawną reprezentacyą jest międzynarodowe stowarzyszenie robotników, zrodził się na tle stosunków wielkiego fabrycznego przemysłu, to też i rozwinąć się może w pewną siłę tylko tam, gdzie przemysł taki istnieje. U nas przeto, którzy dopiero nad stworzeniem przemysłu tego pracujemy, socyalizm ten jest niemożliwy. Możemy się tu i owdzie spotkać z pewnemi ku niemu zapędami, ale nigdy on tego znaczenia mieć nie może i tej siły, jaką sobie zdobył na zachodzie. Nie chcemy przez to twierdzić, jakoby w naszych stosunkach nie tkwiły także zarodki krzywd społecznych, jakoby nasz warsztatowy i mało-fabryczny robotnik znajdował się w pozazdroszczenia godnem położeniu. Kwestya socyalna jest wszędzie — gdziekolwiek całe klasy społeństwa żyją z dnia na dzień, bez zapewnionego stałego bytu, wśród warunków, w których ich siły fizyczne i umysłowe mają znaczenie prostego towaru, i nie mogą się rozwinąć do wysokości prawdziwego człowieczeństwa. Ale wobec niskiego stanu całego przemysłu naszego, kwestya ta nie wyrasta do tego co na zachodzie znaczenia — i wskazaną nam jest zupełnie inna droga, aniżeli owych polityczno-socyalnych agitacyj. Jest nią droga stopniowych reform socyalnych, racyonalnej społecznej polityki. Jest nią przedewszystkiem moralne podniesienie klas pracujących przez powszechne i przymusowe wykształcenie elementarne, reforma podatkowa zmierzająca do ulgi dla klas roboczych, opieka nad pracą dzieci, szerzenie ducha asocyacyi, ale nie burzenie jednych klas społecznych przeciw drugim, nie wywołanie gwałtownych przewrotów, które nie mają jasno wytkniętego celu, a w naszych stosunkach nie znalazłyby nawet dostatecznej siły. Więc szerzenie zasad zachodniego socyalizmu pomiędzy naszymi robotnikami, nie tylko jest bez celu i bez podstawy, lecz jest oraz w najwyższem stopniu szkodliwem, bo powstrzymuje młodych rękodzielników naszych w dalszym postępie na racyonalnej drodze oświaty i asocyacyi, na jaką od dziesięciu lat weszli, a wywołując marę społecznych zawichrzeń, pozbawia ich bardzo cennego poparcia innych warstw społecznych, które im w tej racyonalnej pracy pomocną podają rękę.

Zupełnie od zachodniego różny jest socyalizm wschodni — moskiewski. Despotyzm jakim dotychczas carat się rządzi, musi tam wszelkim dążeniom ku jakiejkolwiek emancypacyi nadawać skrajniejszy niż gdzieindziej kierunek. Brak podstaw moralnych w społeczeństwie niewolników, odbić się musi i na tych dążeniach, które negują dzisiejszy polityczny nastrój. Przeważnie rolniczy charakter systemu ekonomicznego caratu, zmusza socyalistów tamtejszych do zwrócenia się przeważnie ku stosunkom wiejskim, w których jeszcze trudniej aniżeli w stosunkach fabrycznych o jasne określenie programu socyalistycznego. Z tych przyczyn socyalizm moskiewski jest przeważnie agraryjnym, jest zarazem tak skrajnie rewolucyjnym jak skrajnie despotycznym jest system tamtejszego rządu. Socyalizm ten staje się nihilizmem, zburzyć chce nie tylko system rządowy, nie tylko znieść własność, lecz obala zarazem rodzinę, nie pozwala mieć religii, nie uznaje żadnego moralnego przymusu, a gdyby zwyciężył, z dzisiejszego niewolnika zrobiłby zwierzę na chwilę wolne, które jednak wkrótce musiałoby pójść pod batogi. Socyalizm ten ma jeden tylko program: zburzyć. Co natomiast postawi, tego sobie jeszcze dotąd nie powiedział.

Jedynem jego dziełem może być przewrót — i swobodne na chwilę rozpasanie namiętno-

ści, poczem przyjść może znowu sroższy jeszcze despotyzm, chociaż może pod inną niż dzisiaj firmą.

Jakie byłyby skutki, gdyby tego rodzaju socyalizm mógł się między naszym ludem wiejskim przyjąć — dowodzić nie potrzebujemy. Jakie są cele polityczne propagandy socyalistycznej pomiędzy ludem naszym — wiemy wszyscy aż nazbyt dobrze. Ale czy temu zrozumieniu niebezpieczeństwa odpowiada praca, któraby je usunąć zdołała? Czy pojęliśmy to, że lud ten wywłaszczany, mający wśród siebie coraz większe zastępy wiejskiego proletaryatu, może siędać sprowadzić na największe bezdroża, jeżeli mnożeniu się tego proletaryatu nie zapobieżymy?

Tu znowu otwiera się przed nami szerokie pole społecznych reform. Chronić lud ten od wyzyskiwania i wywłaszczenia środkami ustawodawczemi, stwarzać dla niego instytucye ekonomiczne któreby zdzierstwu zapobiedz zdołały, krzewić i podnosić przemysł domowy, kłaść tamę epidemii pijaństwa, dać mu oświatę nie teoretyczną ale praktyczną zarazem, aby plon szczupłej jego ziemi podnosić, chronić go od podatkowego ucisku, wypełniać przepaść między gminą a inteligencyą wiejską już przez samo ustawodawstwo stworzoną... oto niektóre tylko z wielkiego szeregu prac i reform społecznych, bez których owe socyalistyczne wichrzenia coraz szersze między ludem znajdą pole.

Oba rodzaje socyalizmu, propagowane w społeczeństwie ze wszech stron przez nieprzyjaciół obsaczonem, i o byt swój walczącem — są stanowczo narodowej sprawie szkodliwe. Nie rozbicia, nie waśni nam potrzeba, lecz harmonijnego wszelkich sił skupienia. Ale harmonia niemożliwą jest bez przeniknięcia całego życia społecznego zasadą sprawiedliwości, bez nieustannego dążenia do usunięcia wszelkich czy to mimowolnych czy z rozmysłem dokonywanych krzywd. Polska reformą 3go maja dała przykład, jak bez gwałtownych przewrotów wchodzić na drogę postępu w politycznym i społecznym względzie. Spadkobiercy wielkiego dzieła 3go maja, powinniśmy tąż samą przejąć się myślą — a idąc drogą reform i nieustannych prac społecznych, usuniemy niebezpieczeństwo, jakie narodowej sprawie od nihilistycznych agitacyj zagraża.

SZKLANNY CZŁOWIEK.

Nowella

J. Łama i Włodzimierza Zagórskiego.

(*Ciąg dalszy.*)

We dwa miesiące po tych wypadkach, wróciwszy z Karlsbadu, gdzie jeździłem dla poratowania nadwątlonego zdrowia, zmuszony byłem wyjechać na wieś dla poratowania nadszarganej kieszeni. Majątek mój graniczy *comme Vous savez* o miedzę z Barkocinem, ówczesną rezydencyą Ratatyńskich, i leży w sąsiedztwie Młynisk, których najpiękniejszą podówczas ozdobą była znana już panu panna Lalcia Sumińska. Nie mając nic lepszego do roboty, postanowiłem odwiedzić moich sąsiadów, zaciekawiony wielce opowiadaniem mego arendarza, który zdając mi sprawę z powiatowych ploteczek, opowiadał mi o mieszkańcach Barkocina i Młynisk niestworzone rzeczy.

— Jaśnie pan hrabia nie wie — tak relacyonował mój reporter — taże panna Lalcia od Sumińskiego, to wona idzie za tego panicza z Barkocina.

— Za jakiego panicza z Barkocina?

— Nu, za brata od pani Ratatyńskiej, za tego pana Władysława *że**) to go już raz chcieli żenić z panną Lalcią, ino *co* wun ją sobie nie spodobał, taj uciekł był gdzieś aż za morze.

— To pan Władysław jest w Barkocinie?

— A jest, jest! proszę jaśnie pana hrabiego! Przywiózł go gdzieś aż z za morza pan Ratatyński. Ale to cała komedya, dalibóg cała komedya!

— Jaka komedya? — zawołałem rozciekawiony.

— Ny, jak ten panicz z Barkocina był tutaj tamtego roku, to ta panna Lalcia, ona się w nim zakochała co aż strach! *Aj waj*, jak ona się w nim zakochała! Ona powiedziała ojcu, co ona umrze, jak ona nie dostanie tego pana Władysława. Ny, stary Sumiński, wun tak kocha córkę co strach, a jak wun zobaczył, co wona nie chce gadać z żadnym kawalerem, tylko *furt*-płacze za tamtym, to się tak przestraszył, co zaraz dał Ratatyńskiemu tysiąc reńskich, coby pojechał tam za morze, taj nazad sprowadził tego pana Władysława. Ny, Ratatyński pojechał, taj sprowadził, a teraz gadała mi Ehrenmanowa, co już będzie wesele z pewnością.

— Nie może być.

— Dalibóg co tak! Ten Sumiński, to wun robi wszystko, co zechce panna Lalcia. Wona — z przeproszeniem jaśnie pana hrabiego — trzyma za łeb swojego ojca; ny, a ojciec trzyma Ratatyńskiego, za to, co mu pożyczył pieniędzy, a Ratatyński trzyma za łeb swojego szwagra. Ny, to woni się tak trzymają wszyscy za łeb, i panicz z Barkocina zrobi tak jak zechce Ratatyński, a Ratatyński będzie chciał tak jak zechce Sumiński, a Sumiński będzie chciał tak, jak zechce panna Lalcia. Koniec końców pan Władysław, wun się musi ożenić.

— A to zabawne.

— Ny, a co wun może lepszego zrobić? Co miał to wszystko stracił. Wun by powinien obiema rękami brać tę Lalcię, kiedy mu ją dają, bo dla niego to jest interes, *a wahres Glück!* Ale Sumiński taki *Kopf* co wun na to przystaje, a jeszcze się prosi, coby pan Władysław wziął jego córkę, to ja tego dalibóg nie rozumiem!

— A ty zkąd wiesz że się prosi?

— Ny, jak ja wiem? Woni tam w Młyniskach, to jakby wszyscy powaryowali, takie tam teraz komedye. Co tam Ehrenmann nazwoził ze Lwowa książek, a co obrazów, to strach! W same żniwa, jak miał przyjechać ten pan Władysław, to Sumiński posłał na gwałt mularzów, gdzieś aż za Lwów do jakiegoś hrabiego, coby się tam przypatrzyli jakiemuś budynkowi w ogrodzie, i postawili w Młyniskach koło stawu taki sam.

— A cóż to za budynek?

— Ny, proszę jaśnie pana hrabiego to nie budynek, to tak wygląda jak jama, ta że w niej kopią glinę, tylo co takie wielkie jak jaki pokój, i całe z kamienia. A co to kosztowało! ts, ts, ts, to strach! Bo kamień trzeba było sprowadzać aż z nad Dniestru, a budowało się to w same żniwa, w sam prask!

— I do czegóż służy ten budynek? — zapytałem nie mogąc się jeszcze zoryentować.

— A czy ja wiem? Państwo chodzą do tej jamy co dzień, i siedzą tam cały wieczór, a jak miesiąc świeci, późno w noc, Woni tam siedzą, piją herbatę, rozmawiają, i patrzą się na staw, bo tak lubi pan Władysław. To dla niego Sumiński zbudował tę jamę.

— Cha cha cha! — parsknąłem, przypomniawszy sobie trafne spostrzeżenie, które przed rokiem zrobiła Lalcia, krytykując pierwszą scenę Manfreda. — A komary? Nie wiesz Moszku, czy bardzo tam dokuczają komary?

— Właśnie proszę jaśnie pana hrabiego gadają lokaje, co tam komary tną tak, co aż strach!

Lalcia w roli romantyczki, Lalcia w grocie nad stawem, przy świetle księżyca gruchająca ze Szklannym Władysławem, to mi się wydało *d'un cocasse tellement réussi*, że całą noc spać nie mogłem, wyczekując niecierpliwie poranka, aby pojechawszy do Młynisk przypatrzyć się temu widowisku, którego reżyserem, jak się domyślałem, nie mógł być kto inny, jak tylko nieoszacowany Ratatyński. Skoro więc minęła obiadowa pora, kazałem zaprządz, i pospieszyłem najprzód do Barkocina, gdzie jednak nie zastałem nikogo; państwo wraz z „paniczem“ (tak nazywano w Barkocinie Władysława) wyjechali byli do Młynisk, gdzie też i ja podążyłem za ich śladem.

Gospodarz i jego córka przyjęli mnie z najserdeczniejszą uprzejmością, gościom ich zaś był przyjazd mój widocznie nie na rękę.

Wydało mi się przynajmniej, jakoby w chwili mego wejścia do salonu, zamieniali z sobą Ratatyńscy spojrzenie, pełne jakiejś nieokreślonej obawy, podczas gdy na twarzy Władysława osiadł wyraz pociesznego nad wszelki opis zakłopotania.

Ciężyła w tym saloniku atmosfera jakiegoś przymusu, i fałszywego patosu. Ściany ozdobione były kolorowanemi litografiami, przedstawiającemi galeryą kobiet Szekspira; na stoliku przed kanapką stał w ogromnym etruskim wazonie bukiet już nieświeży, którego na wpół opadłe kwiaty zasypały były dywanik na stoliku leżący deszczem pożółkłych liści; w kącie nareszcie za kanapką stał na piedestalu gipsowy biust Bajrona w wieńcu uschłych już, i grubą warstwą pyłu pokrytych bławatków; *le tout jurant* z pół tuzinem szklanek stojących na fortepianie, a napełnionych próbkami tegorocznego zboża.

Widok tego realistyczno - poetycznego bigosu najzabawniejsze czynił wrażenie, na pierwszy rzut oka bowiem poznać było można, że Bajron, Szekspir, kwiaty i bławatki, słowem że całe to poetyczne *mise en scène*, jest tam, że tak powiem, tylko

*) Żydzi w Galicyi wschodniej używają zwykle wyrazu *że* zamiast wyrazu *co*, i odwrotnie.

na popasie, podczas gdy zdrowa, czerstwa, realistyczna proza, reprezentowana przez owe próbki pszenicy, właściwym i prawowitym domu jest gospodarzem.

Podobne wrażenie wywoływał widok Lalci, czerstwej, zdrowej i rumianej jak zawsze, a przystrojonej w suknię fantastycznego kroju. Suknia ta była wybornie zrobioną, i zdradzała każdym fałdem styl pani Ratatyńskiej, pierwszej wówczas w powiecie elegantki, lecz nie harmonizowała wcale z rubasznemi potroszę wdziękami panny Sumińskiej. Lalcia wyglądała w tym stroju jak piwonia, którejby ktoś kazał udawać lilią lub konwalią.

Il va sans dire, że wobec napiętego nastroju towarzystwa, spłoszonego trochę mojem przybyciem, spadł cały ciężar prowadzenia rozmowy na moje barki: starałem się więc wywiązać z tego zadania jak najlepiej, wspierany po części przez Lalcię, która śmiejąc się tym zdrowym serdecznym śmiechem, co to z serca pochodzi, wyglądała mi tak jak student po za szkołą, *un étudiant qui fait l' école buissonière!* Prawdę powiedziawszy było jej do twarzy z tym śmiechem, i można jej było dla tej żywości i naturalności przebaczyć zwyczaj posługiwania się nożem przy jedzeniu młodego grochu, lichą francuzczyznę, tudzież parafiańskie jej sympatye dla nowonarodzonych cielątek.

— *Wu save* — zawołała Lalcia znienacka — pan Władysław napisał wiersz, prześliczny wiersz! cha cha cha! Nie uwierzy pan jak mnie to zabawiło, gdym się dowiedziała, że pan Władysław wiersze pisze.

— A to dlaczego? — zapytałem rozciekawiony.

— Bo w pensyonacie uczono nas literatury podług Laharpa, a ile razy mowa była o jakimś poecie, to *Madam* zawsze mówiła: *il e mor au milui san trez;* więc byłam przekonaną, że ci poeci co wiersze piszą, już wszyscy dawno pomarli. cha, cha, cha!

— *Elle est d'une naiveté charmante!* — zawołała pani Ratatyńska, aby osłabić wrażenie tej ekstemporacyi, podczas gdy Ratatyński, domyśliwszy się że Lalcia powiedziała coś niestosownego, uczuł się także w obowiązku interweniowania, i chrząknąwszy z całych płuc, spojrzał z ukosa na Władysława, który pod ciężarem tego spojrzenia spuścił oczy, rumieniąc się po same uszy.

— A nie możnaby usłyszyć tych wierszy? — zapytałem bez najmniejszej złej woli.

— Czemuż nie? — odparła pani Ratatyńska. — Władziu, zadeklamuj nam twoje wiersze!

Ale Władysław nie był wcale usposobionym do deklamowania. Więcej umarły, aniżeli żywy siedział nasz bohater, przykuty do miejsca chłodnem spojrzeniem Ratatyńskiego, i nie wątpię wcale, że w tej chwili żal mu było niezmiernie, iż uległszy namowom szwagra, dał się odwieść od zamiaru wyjechania do Algieru.

— No Władziu, nie dajże się prosić! zawtórował basem Ratatyński.

— Kiedy nie umiem na pamięć tych wierszyków — odparł Władysław, rzucając w koło spojrzeniem niemal błagającem.

— To nic! to nic! — podchwyciła skwapliwie Lalcia, i sięgnąwszy *sans façon* w zanadrze, wydobyła z pod stanika misternie zwinięty różowy papierek, który podała naszemu bohaterowi, dodając z zalotnym uśmiechem:

— Oto są pańskie wiersze! Ja je zawsze noszę na sercu!

Naiwne to oświadczenie wypowiedziane było z taką dobroduszną prostotą, z takiem serdecznem uczuciem, że dla nich każdy inny, na miejscu Władysława będący, byłby z pewnością zapomniał o rubasznym ruchu, towarzyszącym tej deklaracyi. Aliści bohater nasz zajęty był tylko myślą ocalenia swej szklanności, zagrożony w tej chwili obcesowem wystąpieniem Lalci, i trzeba było nowego chrząknięcia i nowego spojrzenia Ratatyńskiego, aby go skłonić do wyciągnięcia ręki po papierek, ktory mu podawała Lalcia uśmiechając się i wpatrując się dobrotliwie w zakłopotane jego oblicze.

Z rezygnacyą ofiary, która kładzie głowę pod topór kata, sięgnął Władysław drżącą ręką po swoje wiersze, które odczytał głosem żaka, recytującego kopę wierszy, zadanych mu za karę przez hypokondrycznego profesora. Było to tłumaczenie Beranżerowskiego *Beaucoup d' amour*, które tak niegdyś zachwyciło biedną Klimcię, — wiersz ani tak bardzo dobry, ani też bardzo zły; mimo to uczułem się w obowiązku chwalenia go nad wszelkie wyrazy, ażeby dodać trochę otuchy zakłopotanemu poecie.

(Dok. nast.)

REFORMACYJNO-SPOŁECZNE PRĄDY
w przedrewolucyjnym okresie
XVIII stulecia.*)

przez

BOLESŁAWA LIMANOWSKIEGO.

Rewolucya angielska 1688 r. i krytycyzm Locke'go wznieciły ruch umysłowy, który wzmagając się coraz silniej, sprowadził w końcu XVIII stul. przewrot społeczny, zaściełający całą Europę ruinami dawnego porządku.

Dawny społeczny ustrój w Anglii, oparty na przewadze arystokracyi rodowej i zasadzie boskiego pochodzenia władzy, wskutek wstrząśnień rewolucyjnych chylił się szybko do upadku; a obok niego wzrastała nowa potęga — plutokratyczna i konstytucyjno-liberalna. Walka dwu politycznych stronnictw, torysów i wigów, przedstawia pod pewnym względem ścieranie się dwu przeciwnych żywiołów. Za panowania Wilhelma III, przewaga wigów nadaje spekulacyom finansowym szybki rozwój, a ten mnoży klasę kapitalistów, idących ręka w rękę z nieprzyjaciółmi dawnego porządku. W 1694 r. powstaje bank angielski. W 1702 r. dwie kupieckie kompanie, istniejące w Indyach Wschodnich, uczyniły pierwszy krok do zlania się w jednę wielką mocarstwową potęgę, której flota i handel miały następnie zapewnić Anglii znaczenie najsilniejszego morskiego państwa. Rosną pieniężne fortuny a z niemi nowe wpływowe rodziny, zasilające szeregi liberalnego stronnictwa. Nie bez słuszności przeto utrzymywał Bolingbroke, że wigowie byli to wzbogaceni plebejusze, lichwiarze, handlarze przemysłowi, spekulanci, co zawładnęli bankami, wschodnio-indyjską kompanią i wszelkiego rodzaju interesami pieniężnemi. Ustaleniu się przewagi wigów i sprzymierzonych z nimi kapitalistów sprzyjała przytem wielce ta okoliczność, że po śmierci Anny Stuart zasiedli na tronie królowie cudzoziemcy, którzy nie mając tytułów prawowitości, sami byli niejako dorobkiewiczami i szukali oparcia u ludzi, którym zależało przedewszystkiem na utrzymaniu zdobytego stanowiska. Nieszczęśliwe powstanie przeciwko Jerzemu I. na korzyść Stuarta (1715 r.) złamało — rzec można, — do reszty polityczne znaczenie rodowej arystokracyi. „Jeszcze przed zwycięstwem, odniesionem w Szkocyi przez wojsko Jerzego, zdecydowaną już została ruina starożytnych rodzin, trzymających stale stronę Stuartów.*)“ Do zwycięstwa ostatecznego kapitalistów przyczyniła się także obfitość napływających i rozpościerających się po Brytanii kapitałów, które podniosły w tych czasach dobrobyt tego kraju do wysokiego stopnia.

Właśnie na epokę tego społecznego przewrotu przypada silne umysłowe poruszenie. Dawny porządek opierał się na powadze prawa Bożego i prawowitości pochodzenia; Locke obala tę zasadę i odwołuje się do woli narodu, którego czyni prawdziwym dzierżycielem wszelkiej władzy. Dzieło jego p. t. „Uwagi o prawdziwem pochodzeniu, granicach i celu rządu,“ które pojawiło się w 1690 r. zawiera obronę tylko co zaszłej rewolucyi i nowych przez nią głoszonych zasad. Uczniowie Locke'go poszli dalej torem swego mistrza i zatrzęśli nawet posadami samego kościoła. Widzimy to w dziełach Schaftesbury'ego, Tolanda, Collinsa, Swifta, Bolingbroke'a. Wszyscy oni mają przeważnie na celu kościół panujący. Schaftersbury odrzuca nawet potrzebę objawionej religii i poddaje ją samę w wątpliwość. Podług niego, zanadto skierowywano myśl ku życiu przyszłemu, a zamało dawano baczności na życie doczesne. Gorliwym krzewicielem podobnychże myśli był Toland; a wskutek poczytności jego dzieł, zdania, nieprzyjazne nauce kościelnej, rozchodziły się w szerokich kołach i zyskiwały licznych zwolenników. Mniemał on, że zamiast gonić za urojonemi marami, należy zwrócić swe dążenia ku zdobyciu rzeczywistych dóbr na świecie, jakiemi są: zdrowie, prawda i swoboda. Poglądom tym śmiałym na ówczesną epokę nadał powagę naukową znany ze swej uczoności uczeń i przyjaciel Locke'go, Antoni Collins († 1729). Najdotkliwiej wszakże, bo z szyderstwem uderzył na przekonania teologiczne właśnie sługa ołtarza, Jonatan Swift, w „Baśni o beczce“ (the tale of the tub). Bolingbroke należy tylko w części do Anglii. Listy jego do p. de Pouilly'go, w których śmiało powstaje na objawienie i głosi ateizm, pisane są nie tylko w języku francuskim, ale i z dowcipem i lekkością, właściwą Francuzom. Wyższe towarzyskie koła, nie pojmując doniosłości następstw tego krytycznego kierunku myśli badającej, lekkomyślnie przyklasnęły negacyjnemu ruchowi, ponieważ rozrywał teoretycznie więzy moralności, której już oddawna nie praktykowały one w życiu. Rozwiązłość moralna uważała się

*) Jest to pierwszy rozdział przygotowującego się do druku dzieła, które przedstawia dziejowy rozwój zagadnień społecznych w XVIII stul.

*) Historya XVIII i XIX wieku do upadku cesarstwa francuskiego przez F. K. Szlossera. T. I Warszawa 1875. str 240.

za cechę prawdziwej dyplomacyi i prowadziła nieraz na wyższe szczeble społeczne, ile że dwór królewski jak i wszystkie ówczesne dwory śmiało nazwać można było ogniskiem i stekiem zepsucia.

Prądy atoli opozycyjne, znajdując dość łatwy odpływ, nie przybrały w Anglii tych groźnych rozmiarów, jak to nastąpiło w dalszym biegu we Francyi. Rozwijająca się i przenikająca w głąb ludu swoboda polityczna (pierwszy meeting odbył się 1769 r.); zadowolenie i przewaga stanu pieniężnego, który objął kierownictwo spraw publicznych; spotęgowana produkcya, sprowadzająca większą łatwość zarobku, — uciszały burzliwość namiętności ludzkich i dopomagały do spokojnego obiegu wyrabiających się przekonań.

Dopiero we Francyi ruch krytyczno-opozycyjny, podsycany powszechnem niezadowoleniem z istniejącego stanu rzeczy i w nieustannej walce ze stawianemi przeszkodami wzrastający w siłę, stał się ową straszną potęgą, która zatrzęsła całą Europą. Położenie angielskiego narodu, porównane z uciskiem moralnym i materyalnym, gnębiącym Francuzów, wydawało się świetnem, jak o tem przekonywa uwielbienie Monteskijusza dla konstytucyi angielskiej i zachwyt Woltera nad wolnością i wielkością angielskiego narodu, malujący się żywo w jego listach angielskich. Quesnay dobrze odmalował ówczesny stan Francyi w czterech wyrazach: „biedni włościanie, biedny kraj, biedny król!“

Jak w Anglii tak i we Francyi ruch negacyjny skierował się nasamprzód przeciwko duchowieństwu i kościołowi. Sprzeczność bowiem zasad nauczanych z postępowaniem, kłamliwość i obłudność w słowach i uczynkach najmocniej tu raziły. Z wyrozumiałością niezwykłą w tym stanie, patrzało duchowieństwo na rozwiązłość obyczajów, panującą powszechnie w wyższem towarzystwie a prezentującą się najbezecniejszymi wzorami na dworze królewskim; co więcej, bez żadnego skrupułu posługiwało się nią dla przeprowadzenia swych celów. Chodziło mu przedewszystkiem o pozory, nie zaś o istotę rzeczy. Gdy Ludwik XV, pod wpływem przesądnego strachu, nie odważył się w 1739 r. przystąpić do wielkanocnej spowiedzi, duchowieństwo nalegało nań, by pozwolił na odprawienie mszy w swoim gabinecie, pragnąc tym sposobem zapobiedz rozgłosowi, że król nie odbywał spowiedzi. Przytem kler, wspierany przebiegłością i intrygami jezuitów, opanował ster spraw publicznych w osobie Fleury'ego biskupa Frejus (1726—1743), nauczyciela młodego króla. „Sam Ludwik XIV zadrżałby — powiada Michelet — gdyby zobaczył, jaką stała się potęga duchowieństwa za Ludwika XV. Było ono państwem i rządem.“ Siły zaś swojej i przewagi używało na tamowanie światła i wyzyskiwanie ludu.

Niepodobna przeto się dziwić tej niechęci i pogardzie, jakie się objawiły ku katolicyzmowi w listach perskich Monteskijusza (1721 r.) i w listach angielskich Woltera, podartych i spalonych, na rozkaz parlamentu, ręką kata w 1734 r. Monteskijusz wyśmiewa papieża, duchowieństwo, mnichów i przepowiada śmierć katolicyzmowi, który pogardzając tym światem, potępiając wszelką czynność świecką i złorzecząc przyrodzie, skazał siebie tem samem na jałowość. Wolter, wychowanek jezuitów, bardzo wcześnie wprowadzony do grona niedowiarków przez swego ojca chrzestnego, opata Châteauneuf'a, protegowany Bolingbroke'a, podczas swego dwuletniego pobytu w Anglii pozostający w stosunkach z Tolandem i Collinsem, poszedł za ich przykładem*) i nie tylko katolicyzmowi, ale wszelkim chrześciańskim wyznaniom odmówił racyonalności dogmatycznej: zresztą objawiał przekonanie, iż minął czas, w którym ludzie szczerze zajmowali się teologią.

Opozycya przeciwko kościołowi i religijnym poglądom dobiegła szybko we Francyi do samego krańca. Wolter pozostaje jeszcze na stanowisku teistycznem; Diderot w swoich Myślach (1746 r.) każe poznawać Boga z wiedzy przyrody, uważa za najprawdziwszą religią naturalną, wreszcie mniema, że ateizm zniweczyłby płonny przestrach przyszłego świata. Encyklopedya i Helwecyusz swojem dziełem o duchu (1758) przygotowują grunt ateistyczny, na którym wreszcie staje skończony jego systemat w dziele Holbacha, wydanem pod pseudonizmem de Mirabaud a noszącem tytuł: „System przyrody“ (Système de la nature, 1770 r.).

Krytycyzm już od samego początku przybrał we Francyi barwę polityczną. W Listach perskich obok papieża, duchowieństwa, katolicyzmu, Monteskiusz ostrem żądłem satyry dotyka króla, ministrów, wielmożnych; a nawet wypowiada zdanie, które następnie rozrosło się w całość systematu i skierowało ruch opozycyjny z dziedziny teoretycznej ku celom praktycznym. Równość obywateli, powiada, sprowadza zazwyczaj równomierność dobrobytu w państwie; we Francyi zaś i w innych jej podobnych mocarstwach skupia się całe bogactwo w posiadaniu królów, jego dworaków i niewielu ludzi prywatnych, gdy tymczasem reszta narodu jęczy w największej nędzy. Trzech głównie pisarzy, Morelly, Rousseau i Mably, zajmują się bardzo pilnie kwestyą równości ludzi i wszystkiemi wypływającemi z niej skutkami. Z pomiędzy tych trzech pisarzy, Rousseau, może najmniej głęboki, ale najmocniej przejęty nowemi przekonaniami, szerzył je w swoich dziełach z namiętnością i zapałem, które udzielały się czytającej publiczności. Niezaprzeczenie Rousseau najwięcej się przyczynił do upowszechnienia pragnień rewolucyjnych. „Nowa Heloiza“ jego, wydana w 1759 r., którą po czytelniach zamawiano na noc, jeżeli na dzień niepodobna było jej dostać, spopularyzowała nowe demokratyczne poglądy i pozyskała dla nich zwolenników nawet tam, gdzie się trudno tego było spodziewać. Przyczyniło się bardzo do tego społeczne położenie ludu francuskiego w latach, które poprzedziły pojawienie się tej książkl.

Lud francuski bowiem w ciężkiej znajdował się niedoli. „Wioski nikną i giną.... Ludność opuszcza wieś i gromadzi się do miast“, — pisał wówczas d'Argenson, cytowany przez Micheleta w jego historyi. Francyą wydano na łup dzierzawcom podatkowym (fermiers généraux). „To, co Ludwik XIV musiał znosić podczas wojny przeciwko całej Europie, to samo działo się w XVIII stul., pomimo ze pokój panował. Zarząd dzierżawy zawsze utrzymywał w kraju całą armią oficyalistów, woźnych, świadków (potrzebnych przy doręczaniu pozwów) i strażników. Każdy pobór podatków był wojną, wojną o sól, wojną o wino itd. Rachowano osoby mające kupować i narzucano każdej z nich po 7 funtów. Kto nie chciał kupować, tego skazywano na grzywny; kto nie płacił, tego skazywano na galery!“*) Miasta rosły nędzą wiejską, która szukała w nich zarobku. Paryż, siedziba spotęgowanej państwowej centralizacyi, chorobliwie rósł sokami całego kraju. „Ściśniony murami obronnemi, któremi nierozumnie go otoczono, wyrzucał nadmiar ludności na gołe pole; stanął tam Paryż z płótna i desek, ziemi i błota, które zalegało okolice miejskie. Samo miasto tymczasem zduszone szło w górę. Do pięciu, sześciu, siedmiu i ośmiu piętr podnosiły się szczyty i poddasza licho osłonięte od wiatru i deszczu. Woda deszczowa, spływając wzdłuż ścian pozieleniałych, z dachu na dach, przez smrodliwe dziedzińce, czyniła z czarnych dolnych piętr prawdziwe studnie“**) Ludność po wioskach i miastach, wycieńczona głodem, marła tysiącami za każdym pojawem epidemii. Rozpusta i łotrostwa, szerząc się przeraźliwie, zaszczepiały dzikość w charakterze ludu. Głodni rwali się w rozpaczy do buntów. Taine w swojej historyi (Les origines de la France contemporaine) naliczył w samej tylko Normandyi w przeciągu czasu od 1725 do 1768 r. dziewięć rokoszów, spowodowanych nędzą. Do głodu dorzucono hańbę. Dziewczęta, kobiety, nawet dzieci porywano, aby je rzucić na pastwę książąt, panów, dzierżawców jeneralnych. W Paryżu z końcem 1749 r. i początkiem 1750 r. lud stacza liczne walki z policyą, którą chwyta na gorącym uczynku porywania dzieci. Po całej Francyi odbywa się ich kradzież i wykupywanie. „To ten Herod, wołał lud na króla, wycieńczony rozpustą, siły swe pokrzepić pragnie krwią niewinną.“***)

Nędzą i hańbą jątrzony lud patrzeć przytem musiał na zbytek i rozpustę uprzywilejowanych stanów i króla, a po szynkach słuchał dziwnych gadek o równości wszystkich ludzi. Rozprawy bowiem społeczno-filozoficzne, prowadzone dla zabawy w wykwintnych zebraniach salonów, przez malkontentów, jak np. całą klasę urzędników sądowych w 1753 r. powtarzane po kawiarniach, za pośrednictwem całego tłumu sług dochodziły w jaskrawej i dobitnej formie do uszu pospólstwa, zgromadzającego się po szynkach. „Historya lokajów przedstawia ważny objaw tego stulecia (XVIII),“ powiada Michelet i popiera to swoje twierdzenie dalszemi uwagami. „Była to z pewnością klasa najniebezpieczniejsza ze wszystkich. Nie zapomniano niczego, coby mogło ją poniżyć i zastraszyć. Daremnie.“****) Zostając w bliskich stosunkach ze swojemi panami, poufaliła się z niemi, poznawała ich wszystkie słabości, przysłuchiwała się ich rozprawom wolnomyślnym, a doznając od nich często pogardliwego i krzywdzącego obchodzenia się, z tem większą nienawiścią propagowała w swoich kołach podsłuchaną na woskowanych posadzkach zasadę, że wszyscy ludzie rodzą się równymi, i wyciągała z niej wszystkie korzystne dla siebie wnioski.

(C. d. n.)

---

*) Michelet zwraca uwagę na to, że wpływ listów angielskich znalazł w Wolterze grunt ostatecznie usposobiony „Que doit-il aux déistes anglais? Au fond, moins qu'on ne dit. Il relève bien plus de nos *libres penseurs* du dix-septième siécle, de la tradition des Gassendistes, Bernier, Moliére, Hesnault, Boulainvilliers etc Histoire de France. Paris, 1876. str. 28. T XVI.

*) Michelet, str. 61. Na mocy postanowienia z 1680 r., każda osoba po roku siódmym obowiązana była kupować po 7 funtów soli na rok.

**) Michelet, 62.

***) Michelet, 285.

****) Michelet, 255 i 256.

O ARCHITEKTURZE

ODCZYT

Prof. Juliana Zachariewicza.

(Ciąg dalszy.)

We wschodnim stylu ustala hierarchia kościelna formę religijną, niejako dogmatyczną, tworzy tem samem zastój w rozwoju pojęcia piękna i powoduje upadek sztuki, poświęcając ideę dla formy.

Na zachodzie tymczasem powstało z przeobrażeniem stosunków politycznych wielkie państwo. Karol Wielki potrzebuje do wyrażenia swojej potęgi, idei państwowej, artystów, których także z Konstantynopola sprowadza; nie mając po upadku celtyckiej sztuki, przydatnych, w sztuce biegłych ludzi. Ci artyści stosując się do potrzeb miejscowych, pod wpływem zabytków sztuki rzymskiej i celtyckiej, które na miejscu znaleźli, prowadzą architekturę do nowego rozwoju.

Wpływ kościoła i klasztorów, owego siedliska dla pielęgnowania sztuki i wiedzy, miał ten wynik, iż cichej pracy pojedyńczych od świata oddzielonych mnichów, zawdzięczamy zwrot do studyowania i rozpatrywania się w dziejach i umnictwie przeszłej wielkiej kultury pogańskiej. Przejęci duchem tej sławnej Romy, zwracają się oni do sztuki rzymskiej. Prąd ten wyraża się w utworach tych budowli, które nam stawiali owi badacze i myśliciele.

Nadchodzi schyłek wieku dziesiątego, pora, w której podług przepowiedni kościoła ówczesnego, miała nastąpić zagłada naszej ziemi. Pod wrogim wpływem tej groźby, oddają się jedni rozpuście, drudzy popadają w odrętwienie. Przychodzi — i mija ten rok. Zamiast rozpamiętywania nad śmiercią i końcem świata, owładnęła narody ochota do życia. Wynikiem tego była ożywiona czynność także na polu architektury. Powstają te wspaniałe tumy i klasztory, w których oglądamy niejako pierwsze odrodzenie sztuki rzymskiej. Mistycyzm w obrządku ucieka przed rzęsistem światłem starochrześciańskich kościołów. Zakładają na wielkie rozmiary, na nowych podstawach pojęte tumy, w stylu, który romańskim nazywamy.

Prócz licznej gminy, liczny zastęp świeckich księży, mnichów i zakonnic, równocześnie w świątyniach umieszczenie znajduje.

W wspaniałych i rozłożystych masach, wieżami i wieżyczkami piętrzy się gmach kościoła. Wchodząc przez furtę do jego wnętrza, zostajemy uderzeni czarującym i smętnym urokiem. Z jasnego światła dziennego, wstępujemy do naw mglisto i mistycznie oświetlonych. Majestatyczne filary i słupy przedzielają szerokie płaszczyzny wyniosłych murów; na nich rozprzestrzeniają się malowidła w nieudałych, surowych ascetycznych kształtach, przedstawiające sceny nowego Testamentu lub męczeństwa chrześcian. W dali, na wzniesieniu, od tłumu oddzielone presbiteryum, mglistem światłem oblane, z pomiędzy którego, jak promyk łaski i opieki Zbawiciela, w złotem sklepieniu trybuny uroczo światło się odbija. Purpurą odziani kapłani sprawujący ofiarę przesuwają się w śród kłębów niebieskiego, wonnego dymu kadzideł, przy odgłosie ambrozyańskich chórów.

Pod prezbiteryum, jakoby wejście do grobu widzimy szeroki do podziemnej krypty prowadzący otwór. Po nad tem wszystkiem wznosi się cały system sklepień, po których w ciemnych tonach do wyniosłej harmonii ułożone kolory, grą swoją przyczyniają się jeszcze bardziej do spotęgowania wrażenia, któremu oprzeć się nie można. Któż oglądając te świątynie nie uległby pobożnemu nastrojowi, który rycerstwo podniecone gorącem słowem Piotra z Amiens, prowadzi do świętej ziemi na krucyatę?

A i my, dzieci dzisiejszego wieku, wstępując do tych tumów, czyż możemy doznać innego uczucia?

Potęgę kościoła owych czasów, uprawnienie do niej czujemy najmocniej, właśnie w tych utworach. Atoli czujemy także to przygnębienie ducha naszego, które wynika z przewagi tej silnej hierarchii.

Jak inaczej dochodzi do rozkwitu architektura z zapasów świeckiego i kościelnego świata w późniejszych czasach, w ręku świeckich artystów!

Zamiast ciężkich mas, szeroko rozłożonej budowy, z której nizkie wieże i wieżyce się wznoszą, widzimy strzelistemi filary wspaniałe okna rozdzielone, w uroczej sylwecie przedstawiającą nam się budowę, która przy bliższem oglądaniu przedstawia się jak organizm, jako wynik jednej wzniosłej myśli.

Wieże, wieżyczki, iglice, wszystko się piętrzy do góry, jak gdyby dając wyraz religijnemu wzniesieniu ducha.

Zamiast ciemnych murów oddzielających nas od świata i światła dziennego, wznosi się na lekkich wiązkach słupków, siatka sklepienna jak gdyby tryumfowała nad ciężącą ziemską materyą. Wnętrze jaśnieje rzęsistem światłem. Słońce stubarwnemi olbrzymiemi oknami wnika do świątyni zsyłając swe promienie, które oblewają wszystko uroczem światłem. Jak gdyby „memento mori" z poglądów posępnego minionego świata — usunięto kryptę z kościoła. Tak przedstawia się nam świątynia gotycka.

Rozwój i rozkwit stylu gotyckiego jest nadzwyczaj szybki. Z Francyi kolebki tego stylu przechodzi tryumfalnym pochodem po całej cywilizowanej Europie, atoli dopiero w Niemczech w tumie kolońskim, dosięga swego szczytu.

Ten styl panuje aż do 16go wieku w północnych krajach. Wreszcie upada, przechodząc w spekulacyjną szematyczną grę dekoracyjną i kiedy w dziwnem spaczeniu pojęć o granicach swojej sztuki, naśladuje kształty natury w architekturze.

W tym czasie dochodzi do wschodniej Europy, gdzie ginie w przewadze stylu bizantyńskiego. W Anglii zaś do dzisiaj okazuje swoje uprawnienie i żywotność, i widzimy go tam w budowlach tak kościelnych jak i świeckich.

Do Włoch w XIII wieku wprowadzoną sztukę gotycką, przyjęto jako niemiecką i barbarzyńską. Lecz tam tętni w jej utworach zmysł zdrowy — tradycya czasów przeszłych, poczucie dla poezyi przestrzeni, jako zabytek z czasów rzymskiej sztuki; tam też ten styl doznaje tego przekształcenia, które prowadzi do zdobyczy na podstawach zupełnie odrębnych.

Artyści jak: Nicolo Pisano, Giotto, Orcagna, Arnolfo i inni, nadają sztuce kierunek. Te zdobycze porywają nas nietylko malowniczym układem i dekoracyą, lecz przygotowują one do wytworzenia nowego stylu, który nazywamy stylem odrodzenia.

Odrodzeniem jest to w całem tego słowa znaczeniu!

Cały szereg wielkich mistrzów tej epoki 15go i 16go wieku, przejętych pięknością ruin starego Rzymu, wytworzyli styl nowy, styl odrodzenia, stosując się do zasad w tych zabytkach zawartych i wprowadzając je w twórczem przeobrażeniu do nowych wymagań czasu.

Od dłuższego czasu przygotowywało się to przeobrażenie stosunków, które zwiemy Renesansem. (C. d. n.)

UCIECZKA WIĘŹNIA STANU.

przez J. S. S.

W późnej jesieni 1864 roku do Genewy przybył Jarosław Dąbrowski natychmiast po ucieczce swojej z przymusowej podróży na Sybir. Nie znałem go poprzednio, lecz wspólność wspomnień z korpusu kadeckiego, w którym byliśmy razem, i z jeneralnego sztabu, w którym niegdyś służyliśmy, zbliżyła nas prędko.

Jarosław Dąbrowski był małego wzrostu, szczupły, z twarzą prawie pozbawioną zarostu, regularnych rysów, z ruchami żywymi, świadczącymi o energii i ruchliwości tego człowieka. Z powodu słabego wzroku nosił błękitne okulary.

Już doszła do nas wieść o jego prawie cudownej ucieczce z Moskwy, dlatego też jak tylko pierwsze lody zostały przełamane, prosiłem aby mi opowiedział szczegółowo jak odzyskał swobodę.

Dziś, gdy ziemia pokryła zwłoki tego człowieka, gdy głosy nienawiści, zazdrości i potwarzy już umilkły, sądzę iż mam prawo powtórzyć opowiadanie jego, które przekona, iż nie był to pospolity, tuzinkowy człowiek, lecz genialna osobistość, która przy sprzyjających okolicznościach mogła odegrać bardzo ważną rolę.

Jeden z oficerów aresztowanych w Wilnie wyśpiewał, że w czasie pobytu jego w Petersburgu bywał często u Dąbrowskiego, gdzie się zbierali dla pomówienia o różnych sprawach, a szczególnie o zachowaniu czystości obyczajów i godności imienia Polaka. Murawiew kazał napisać do Berga, namiestnika w królestwie Polskiem, żądając żeby aresztowano Dąbrowskiego, który był kwatermistrzem przy sztabie wojsk znajdujących się w Warszawie, i przysłano mu do śledztwa. Ton wezwania nie podobał się Bergowi, bo między nim a Murawiewym istniała niechęć i zazdrość; kazał więc aresztować Dąbrowskiego lecz zarazem odpisać żeby Murawiew przysłał mu akta śledcze, gdyż chce śledztwo nad oficerem służącym pod jego dowództwem sam przeprowadzić. Murawiew połknął pigułkę i nic nie odpowiedział.

Aresztowanie oficera znanego ze zdolności i bardzo lubionego przez kolegów zrobiło dość wielkie wrażenie w wojsku pomiędzy oficerami; potrzeba było uzasadnić ten czyn i dlatego polecono policyi odszukać dowody winy.

Policya warszawska dla odszukania wątku spisku jeszcze przedtem rzuciła się na szczególny pomysł, nakazując ajentom swoim zawiązywać stosunki miłosne z kucharkami i służącemi, żeby za pomocą ich dowiadywać się co się w domach działo. Dawna służąca Dąbrowskiego, wydalona ze służby za złe prowadzenie się, uwiadomiła swego policyjnego kochanka, że u pana jej zbierali się często nieznani jej młodzi ludzie i naradzali się do późna w nocy. Komisya śledcza otrzymawszy to doniesienie wezwała Dąbrowskiego do dania objaśnień; lecz Jarosław już był uwiadomiony przez Rząd Narodowy o grożącem mu niebezpieczeństwie i przygotował się do obrony.

W komisyi czekała już służąca i wobec obwinionego powtórzyła, że u niego co wieczór

zbierali się jacyś podejrzani młodzi ludzie, że ją zawsze odsyłano do kuchni, a przy niej nic nie mówiono.

Co pan odpowiesz na swoję obronę zapytał przewodniczący?

— Odpowiem, że dopóki jestem jeszcze oficerem, dopóki noszę ordery otrzymane za zasługi w bitwach na Kaukazie, nie macie prawa panowie stawić mnie do konfrontacyi z wszetecznicą wypędzoną z domu mego za złe prowadzenie się. Złość i zemsta podyktowały jej obwinienie tak niebezpieczne dla mnie w teraźniejszym czasie. Panowie sami wiecie dobrze, że zbieranie się wielu ludzi w jednym domu i to w nocy, gdy nikt nie może wyjść na ulicę bez latarki, nie mogłoby ujść baczności policyi, tem więcej na ulicy tak uczęszczanej jak ta, na której mieszkałem. Więcej nic nie mam do odpowiedzenia na obwinienia tej rozpustnicy i odpowiadać więcej nie będę.

Stanowczy ton, upomnienie się o swe prawa, których nie był jeszcze pozbawiony, zaimponowało sędziom. Kazano go odprowadzić na powrót do celi więziennej 10go pawilonu cytadeli warszawskiej.

Od tego czasu przeszło dwa tygodnie. Policya robiąc rewizyą w pomieszkaniu podejrzanej o stosunki z powstaniem panny Piotrowskiej, która mieszkała z ciotką swoją, znalazła u nich portfel, w którym były wszystkie papiery i dokumenta służbowe Dąbrowskiego razem z różnemi kwitami na odebrane pieniądze i różne rekwizyta wojskowe, przeznaczone dla powstańców. Panna Piotrowska zapytana zkąd wzięły się te papiery, wyznała że kwity doręczone jej były do przechowania przez nieznanego człowieka, i że nie wiedząc co robić z niemi, złożyła je do portfelu, gdzie leżały papiery Dąbrowskiego oddawna dane jej do przechowania, jako krewnej, żeby nie zatraciły się w czasie rozruchów i przenosin, na które narażeni byli wszyscy wojskowi w czasie toczącej się wojny. O tym wypadku i odpowiedzi panny Piotrowskiej Rząd Narodowy zakomunikował Dąbrowskiemu natychmiast, gdyż i w cytadeli posiadał ajentów swoich, za pomocą których utrzymywał nieustanną komunikacyą z więzniami.

W kilka dni po tem nowem odkryciu, więzień został powtórnie wezwany do komisyi. Na stole leżał portfel jego i wszystkie papiery w nim znalezione. Przewodniczący zapytał, czy poznaje ten portfel.

— Jest to mój, odpowiedział Dąbrowski spokojnie.

— Są tu papiery służbowe pańskie i różne kwity powstańcze; zkąd się one wzięły?

— Nie wiem, bo dałem je do przechowania krewnej mojej p. Piotrowskiej; ją więc należy zapytać zkąd się wziąć mogły.

— Więc pan powiadasz, że nie dawałeś tych kwitów do przechowania, rzekł prezes z uśmiechem niedowierzania.

— Powtarzam, że oprócz papierów moich, wtedy gdym oddawał je do przechowania, w portfelu nic nie było.

Ta zgodność odpowiedzi z oświadczeniem p. Piotrowskiej zbiła z tropu badającego, który nakazał więźnia odprowadzić na nowo do celi.

Tymczasem śledztwo toczące się w Wilnie, wykryło roboty poprzednie Dąbrowskiego dla przyciągnięcia jaknajwiększej liczby młodzieży do ruchu powstańczego. Chciwy krwi Murawiew nie mogąc dostać winowajcy w ręce, przesłał akta śledcze tyczące się tej sprawy do Warszawy. Dąbrowski był zgubiony. Nic go już uratować nie mogło od wyroku śmierci. Zręczność z jaką się bronił, przytomność umysłu, znajomość praw moskiewskich, którą wszyscy podziwiali, już mu do niczego nie posłużyła. Nic nie pozostało jak za pomocą pieniędzy odwlec o ile można chwilę wyroku, w nadziei, że okoliczności zmienią się. Krewni więc i przyjaciele, poparci przez Rząd Narodowy, udali się do tego środka dość łatwego przy znanem przekupstwie Moskali.

Wiedząc o stanie rzeczy i chcąc zabezpieczyć przyszłość swej narzeczonej panny Piotrowskiej, robiąc ją spądkobierczynią swego majątku, Dąbrowski skomunikował się z nią, zapytując czy chce z nim wziąć ślub w cytadeli, a w razie zgody, polecając jej podać prośbę o to do hr. Berga za pośrednictwem jenerała Trepowa oberpolicmajstra warszawskiego, w którym było ludzkie serce.

Prośbę tę Trepów osobiście przedstawił namiestnikowi i uzyskał pozwolenie na ten szczególny ślub, mający odbyć się w celi więziennej w cytadeli warszawskiej. Wezwany ksiądz połączył stułą ręce dwojga kochanków, z których jeden miał być wkrótce stracony, a druga zesłaną w głąb Moskwy na osiedlenie. Wzruszony kapłan ze łzami w oczach pobłogosławił tę nową parę i wyszedł z więzienia. Rząd w nieograniczonej swej dobroci pozwolił małżeństwu pozostać razem całe dwie godziny pod dozorem żołnierza postawionego na warcie, i który oczu nie spuszczał z tych dwojga kochanków.

Gdy godzina rozstania wybiła, pani Dąbrowska wprost z cytadeli udała się do Trepowa, żeby mu podziękować za jego wstawienie się do namiestnika. Jenerał moskiewski był wzruszony. „Pani, rzekł do niej, dotychczas słyszałem tylko przekleństwa Polaków i Polek, pani jesteś pierwszą, która mi dziękujesz. Daję słowo pani, że jeżeli tylko żyć będę, mąż pani także żyć będzie; może Bóg pozwoli, że i dla was szczęśliwsze dnie zabłysną."

Natychmiast po wyjściu pani Dąbrowskiej jenerał kazał wezwać do siebie ober-audytora sądu wojennego i prosił, żeby uwiadomił kiedy wyrok na Jarosława Dąbrowskiego będzie przedstawiony do konfirmacyi namiestnika.

Pani Dąbrowska, jako żona więźnia, uzyskała pozwolenie widywania się z mężem, wobec świadków, w komisyi. Ta okoliczność dla energicznego i przedsiębiorczego człowieka jakim był więzień, stała się podstawą planu, który ułożył w głowie, dla oswobodzenia się z więzienia razem ze wszystkiemi więźniami politycznemi znajdującemi się w cytadeli.

Nasamprzód zażądał od Rządu Narodowego nominacyi na komendanta cytadeli warszawskiej, z poddaniem pod rozkazy wszystkich więźni tam znajdujących się. Otrzymawszy żądaną nominacyą wydał natychmiast odezwę do współwięźniów, wzywając ich do posłuszeństwa i do ścisłego wykonania wszelkich rozkazów, które od niego otrzymają. Komunikacya między więźniami odbywała się za pomocą stukania w ścianę lub pewnego miejsca, w którem zostawiano w schowku znanym każdemu rozkaz na piśmie. Papier i ołówek dostarczyła Dąbrowskiemu żona jego w przytomności oficera tak zręcznie, iż ten ani się spostrzegł.

Plan Dąbrowskiego był następujący: w dzień wyznaczony wszystkie drzwi od cel miały być za pomocą ręcznych piłek tak przepiłowane, żeby jednem uderzeniem nogi można było je wysadzić. Hasłem wybuchu miał być wystrzał z rewolweru w celi Dąbrowskiego. Jak wiadomo wszystkim, kto czytał opisanie więzień moskiewskich, w celi każdego więźnia wieczorem zapala się łojówka, która pali się aż do rana. Gdy łojówka zgaśnie, żandarm wchodzi do celi i zapala ją znowu; w tymże czasie żołnierz z karabinem zbliża się do drzwi otwartej celi. Otóż Dąbrowski miał zamiar zgasić świecę i gdy żandarm wejdzie do celki, strzelić w łeb żołnierzowi stojącemu na warcie; na wystrzał jego Szwarc, który siedział w celi naprzeciwko, miał wyłamać drzwi i pochwycić karabin. Posiadając karabin i rewolwer, obaj mieli się rzucić na najbliższego żołnierza chodzącego po korytarzu i odebrać mu broń. Na dane hasło wystrzałem wszyscy uwięzieni powinni byli wyłamać drzwi i rzuciwszy się masą na żołnierzy rozbroić ich. Zyskawszy w ten sposób kilkanaście sztuk broni i uszykowawszy się w korytarzu pod dowództwem Dąbrowskiego, mieli wybiedz na plac, na którym stała rota piechoty na warcie i rzucić się na nią. Część zaś oddziału pod dowództwem jednego podoficera artyleryi, który siedział w więzieniu i miał być skazany na śmierć za udział w powstaniu, powinna była korzystając z zamieszania rzucić się ku północnej bramie cytadeli, otworzyć ją i dać możność ustępującym wyjść z cytadeli. Żeby jednak powstrzymać goniących, podoficer wspomniany miał rozkaz podłożyć lont zapalony pod skład prochu znajdujący się tuż około bramy z takiem wyrachowaniem, żeby polscy więźniowie mogli być już za bramą w czasie wybuchu. Dla przyjęcia i poparcia uciekających, jeden z oddziałów operujących na prowincyi miał się zbliżyć do miasta i czekać na alarm w cytadeli, w czasie którego miał się podsunąć pod samą fortecę. Za dzień powstania obrano Wielkanoc, w nadziei, że żołdactwo moskiewskie według zwyczaju spije się i nie będzie w stanie bronić się należycie.

Plan cytadeli warszawskiej Dąbrowski otrzymał od Rządu Narodowego i stosownie do niego zaczął robić potrzebne przygotowania.

Nasamprzód potrzeba było dostać dostateczną ilość piłek i rozdać je więźniom. Piłek tych dostarczyła żona Dąbrowskiego. Następnie potrzeba było rewolweru.

Gdy pani Dąbrowska usłyszała od męża żądanie, żeby mu przyniosła rewolwer i naboje, zbladła ze wzruszenia; bo gdyby znaleźli go u męża w czasie jednej z codziennych rewizyj odbywanych w każdej celi, żadne środki nie pomogłyby do ocalenia go od śmierci, a i ją samą narażało na okropne następstwa. Biedna kobieta wahała się dać obietnicę ukochanemu swemu, lecz gdy ten oznajmił jej stanowczo, że to musi być koniecznie, zdecydowała się na to, czegoby oprócz Polki nie zrobiła żadna kobieta na świecie. Przy następnej wizycie, na zapytanie męża czy przyniosła to czego prosił, wskazała mu oczyma na zarękawek położony na krześle. Żegnając się z żoną Dobrowski, wziął ostrożnie zarękawek, żeby go jej podać i w oczach asystującego oficera zręcznie wyjąwszy rewolwer i naboje wpuścił je do kieszeni swego oficerskiego paltotu, w którym zawsze chodził w więzieniu.

Po przybyciu do celi potrzeba było obmyśleć jak go schować przed czujnem okiem stróżów więziennych. W jednym z kątów celi dla podparcia stropu stał słup, w kapiteli którego zrobiła się szpara. Słup ten przytykał do ściany. Otóż w tej szparze u góry postanowił schować swój skarb i przyszłą nadzieję urzeczywistnienia planu.

Długo pracował nad tem, żeby wdrapać się na górę, a było to nie łatwo, bo objąć słupu nie mógł nogami z powodu bliskiego położenia około ściany. Nareszcie dzięki gimnastycznym ćwiczeniom, których się uczył w kadeckim korpusie, po wielu trudach, dotarł do celu i rewolwer znalazł schronienie, w którem mógł leżeć spokojnie z pewnością, iż go tam nikt nie odszuka, bo nikomu do głowy nie mogło przyjść na myśl nawet o możności wdrapania się na słup aż do wierzchu. (C. d. n.)

Z NIEZNANYCH POEZYJ.

IV.

WIECZNA WIOSNA.

Kiedy się w liść zielony knieja przyodziewa,
Kiedy rozkwita róża i łąka rozwonie,
Wiosna! wołają ludzie i z radością w łonie,
Ścigają wzrokiem krasę i ptaka co śpiewa.

Ach! ja jedno mam tylko wiosenne ustronie,
Wiecznie ztamtąd zaklęty na mnie czar powiewa,
Wiecznie tam kwitną łąki, — zielenieją drzewa,
I wiecznie błękit jasny odbijają tonie.

Pragniesz bym ci rozwiązał zagadki tej słowa?
Dziw! że dotąd jej serce nie odgadło twoje!
— Gdzie ty, tam wiosna, świeżość, — wiecznie woń majowa;

Toń co błękit odstrzela, to twych oczu dwoje,
A ustroń co tę krasę jakby świętość chowa,
To, dziewczę, wierna przyjaźń, szczere serce moje.

Mieczysław Romanowski.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

ARKADYUSZ KLECZEWSKI.

(Ciąg dalszy).

VI.

Kilka zjawisk niewytłómaczonych.

Szkocya jest zawsze jeszcze krajem przesądów i zabobonu. W niektórych zwłaszcza okolicach, dzierżawcy lordowskich folwarków, na zwykłych wieczornych zebraniach, z upodobaniem powtarzają sobie opowieści i baśnie zaczerpnięte z mitologii ludów Północy, a pomimo dość wysokiego stopnia oświaty na jakim znajduje się ludność całego prawie kraju, baśnie te nie zdołały dotąd przejść w dziedzinę złudzeń i po dziś dzień jeszcze stara Kaledonia pełną jest duchów i upiorów, chochlików i wieszczek. Podotąd ukazują się tam: taki naprzykład „Seer“, zwiastujący zbliżającą się śmierć, a od odwiedzin którego uwolnić się można jedynie złożeniem pewnej opłaty pieniężnej; „May Moullach“ postać dziewicza o obrośniętych włosem rękach, uprzedzająca rodziny o grożących im nieszczęściach; wieszczka „Branshie“ będąca zwiastunem wielkich katastrof; poważne „Brawnies“ czuwający nad sprzętem domowym; groźny „Urisk“ najczęściej przebywający w dzikich wąwozach po nad jeziorem Katrine — i wiele innych.

Rozumie się samo przez się, że ludność górnicza niemało musiała przyczyniać się do wzbogacania tego mytologicznego repertoaru. Jeżeli góry i lasy zaludnione były istotami nadprzyrodzonemi, dobremi lub złemi duchami, wylęgłemi w przesądnej wyobraźni mieszkańców, tem bardziej ciemne i ponure kopalnie musiały być pełne duchów, zamieszkujących w niedostępnych, najgłębszych kryjówkach. Któż bowiem, jeżeli nie owe duchy, sprawiał straszne podziemne trzęsienia, podczas burzliwych nocy jesiennych? kto naprowadzał na nowe żyły węgla? kto gazy zapalał i wywoływał okropne eksplozye? Wszystko to, zdaniem przesądnych górników, musiało być dziełem istot nadprzyrodzonych i traciłby czas napróżno ten, ktoby zapragnął przekonać ich, że zjawiska te nie mają w sobie nic nadnaturalnego.

Szczególniej kopalnia Aberfoyle, początki eksploatacyi której sięgały jeszcze czasów legendowych, musiała więcej od innych dostarczać fantastycznego materyału. Krążyły też o niej najdziwaczniejsze baśnie, podtrzymywane zdarzającemi się od czasu do czasu zjawiskami, których żadną miarą niepodobna było wytłómaczyć.

Jednym z najbardziej przesądnych był znany nam już Jakób Ryan. Wierzył on we wszystko, a cokolwiek mu opowiadano pod tym względem, przerabiał zaraz na śpiewki, któremi zachwycał swoich słuchaczów podczas długich zimowych wieczorów.

Niemniej i inni robotnicy przekonani byli, że w kopalni zamieszkują istoty niepochwytne, zjawiające się nader często, podobnież jak to bywa na powierzchni ziemi. Słuchając fantastycznych ich opowiadań, możnaby tylko było dziwić się, gdyby miało być inaczej; i w samej rzeczy, czyż podobna znaleźć odpowiedniejsze miejsce dla wystąpień całej falangi duchów, nad ciemne i ponure głębie kopalni? Scena była gotową, dekoracye ustawione, czemużby niewidzialni artyści nie mieli odgrywać tam swoich dramatów i komedyi?

Tego przynajmniej zdania był Jakób Ryan a za nim i inni robotnicy kopalni Aberfoyle. Że zaś, jak to już nadmieniliśmy, podziemne chodniki i galerye łączyły między sobą nietylko pojedyńcze szyby i komory, ale stanowiły nawet komunikacyą z innemi kopalniami, do tego stopnia, iż pod całem nieomal hrabstwem Stirling istniał pewien rodzaj labiryntu a raczej olbrzymiego kretowiska — nic przeto dziwnego, że górnicy różnorodnych kopalń spotykając się w podziemnych chodnikach udzielali sobie wzajemnie swoich spostrzeżeń, a tym sposobem cudowne legendy rozchodząc się z szybkością błyskawicy z ust do ust, rosły i potężniały w miarę coraz większego oddalenia od swojej kolebki.

Dwaj tylko górnicy, wykształceńsi od innych i poważniejszego usposobienia, nie poszli za ogólnym popędem, i żadną miarą nie chcieli uwierzyć w tak blizkie sąsiedztwo geniuszów, chochlików, wieszczek i t. p. duchów.

Byli to, jak już zapewne odgadł czytelnik, Szymon i Henryk Fordowie. Dali oni tego najlepszy dowód zamieszkując nadal w opuszczonej kopalni. Co do poczciwej Madge, miała ona, być może, jak każda Szkotka, pewien pociąg do nadzwyczajności, radaby nieraz rozprawiała o pojawiających się duchach, o demonkach złośliwych lub błędnych ognikach, — w braku jednak sąsiadek i przyjaciółek, zmuszoną była sama sobie opowiadać te wszystkie cuda, co też, dla utrzymania tradycyi, z największą spełniała skrupulatnością.

Chociażby zresztą Szymon Ford i syn jego byli również przesądni jak ich towarzysze, nie pozostawiliby oni jednak kopalni Aberfoyle w wyłączne posiadanie duchów i wieszczek. Zostawali oni pod wpływem odmiennego, daleko silniejszego zabobonu, w imię którego gotowi byli walczyć nawet z duchami, a zabobonem tym było niezłomne przekonanie, że prędzej czy później odkryć muszą nowe pokłady węgla, była owa „wiara górnika“ że życiodajne ich łomy nie były i nie mogły być zupełnie wyczerpane.

Ta wiara i ta nadzieja podtrzymywały ich i dodawały im odwagi. Od lat dziesięciu, codziennie z kilofem lub motyką w ręku, opatrzeni lampami bezpieczeństwa, ojciec i syn, zwiedzali wszystkie zakątki kopalni, podkopywali się, wiercili otwory, lub uderzali żelaznemi drągi w skaliste ściany, nadsłuchując czy pożądanego nie wydadzą one odgłosu.

Dopóki sondowanie nie zostało doprowadzone do granitu stanowiącego pokład pierwotny, Szymon Ford nie tracił nadziei, że poszukiwania ich, dziś bezowocne, jutro mogą być pomyślnym uwieńczone skutkiem. Przywrócenie kopalni dawnej jej świetności stało się świętym, jedynym ich obowiązkiem; a gdyby ojciec miał uledz przed osiągnięciem tego celu, syn prowadziłby dalej rozpoczęte dzieło.

Jednocześnie z dokonywanemi poszukiwaniami, dwaj zapaleni nasi górnicy, czuwali nad stanem bezpieczeństwa w kopalni. Zapewniali się o trwałości filarów i sklepień; badali czy w którem miejscu nie zagraża niebezpieczeństwo zawalenia się i czy nie zachodzi potrzeba zasypania którego szybu dla ocalenia całości. — Z wielką bacznością śledzili przepływ wód przesiąkających z pokładów górnych, tamowali je lub też sprowadzali za pomocą kanałów do sadzawek w najniższych kondygnacyach. Jednem słowem obaj Fordowie stali się dobrowolnymi opiekunami i konserwatorami tych bezużytecznych dziś przestrzeni, niezmierne bogactwa których oddawna już uleciały z dymem!...

Właśnie podczas podobnych wycieczek, zdarzało się najczęściej Henrykowi spostrzegać zjawiska, których żadną miarą wytłómaczyć sobie nie umiał.

I tak, niejednokrotnie, gdy przechodził jedną z poprzecznych galeryi, zdawało mu się słyszeć jakby uderzania kilofu o twardą opokę.

W takich razach przyspieszał kroku, aby naocznie sprawdzić przyczynę i powód tej tajemniczej roboty.

Napróżno jednak. Pomimo najskrzętniejszych poszukiwań przy blasku lampy, nie odkrył nigdy najmniejszych śladów, jakie musiałyby zostawić świeże uderzenia motyki lub kilofu.

Wówczas zapytywał sam siebie, czy nie był igraszką jakiejś hallucynacyi, lub czy też uwiodły go tylko fantastyczne odgłosy echa.

Kiedyindziej znów skręcając nagle ze światłem w mniej znane mu wydrążenia, spostrzegał przed sobą jakoby cień przebiegający... Rzucał się naprzód... i nic nie znajdował, w takich nawet miejscach gdzie nie było najmniejszej szczeliny, mogącej ułatwić ucieczkę człowiekowi.

Dwukrotnie w ciągu jednego miesiąca, przy zwiedzaniu zachodniej części kopalni, wyraźnie słyszał w pewnej odległości wystrzały, jakby spowodowane wybuchem dynamitu.

Za drugim razem, po skrupulatnem kilkugodzinnem badaniem, młody górnik odszukał filar rozszarpany świeżo nastąpioną eksplozyą.

Przy świetle swej lampy, przekonał się Hen-

ryk, że na wpół wzburzona ściana nie była sztucznie zbudowaną z kamieni, ale wykutą została z jednej masy łupku, sięgającego w tem miejscu aż do pokładów węgla. Czy podłożenie i zapalenie miny miało na celu odszukanie nowych żył, czy też poprostu niewidzialny sprawca chciał przyspieszyć zawalenie się tej części kopalni — to było pytanie, na które ani Henryk, ani stary oberman, uwiadomiony przez syna o wypadku, nie mogli zadowalniającej znaleźć odpowiedzi.

— Rzecz dziwna! — powtarzał często Henryk — obecność ludzkiej istoty w kopalni, zdaje się być niemożliwą, a jednak ani chwili wątpić nie można, że ktoś w niej przebywa! Miałżeby kto inny jeszcze oprócz nas poszukiwać nowych pokładów węgla? a raczej czy ten ktoś nie zamierza przypadkiem zniszczyć do reszty całej kopalni? Ale, w jakim czyniłby to celu?! Chociażby mnie to życie miało kosztować, muszę się prawdy dowiedzieć!

Na dwa tygodnie przed wizytą inżyniera, gorące to życzenie Henryka Ford było już bliskiem urzeczywistnienia.

Z silnie płonącą lampą przebiegał on południowo-zachodnie krańce kopalni.

Nagle, zdało mu się, iż na kilkaset kroków przed nim, w końcu wązkiego przejścia, zamkniętego kamienną ścianą, zgaszono jakieś światło. Pospieszył w tym kierunku.

Próżne usiłowania! Gdy zaś Henryk nie zwykł podobnych zjawisk przypisywać działaniu sił nadprzyrodzonych, dorozumiał się więc, że nieznajoma jakaś istota ukrywać się musi w kopalni. Pomimo przecież najstaranniejszych poszukiwań, pomimo że zwiedził każde najmniejsze nawet zagłębienie szybu, każdą jamę podejrzaną — nic a nic, żadnego nie znalazł śladu, i znowu pozostać musiał w dręczącej go niepewności.

I później jeszcze, od czasu do czasu, spostrzegał w różnych kierunkach, migające światełka jakby błędne ogniki — zjawiska te jednak trwały zwykle zaledwie jedno mgnienie oka i zbadanie ich trzeba było odłożyć do szczęśliwego jakiego wypadku.

Gdyby światełka te ujrzał był Jakób Ryan, albo inny którykolwiek z zabobonnych górników, nie ma najmniejszej wątpliwości, że bez wahania złożyliby je na karb cudów i duchów.

Ale ani Henrykowi ani ojcu jego, nawet przez myśl nie przeszło coś podobnego; rozmawiając zaś z synem o owych zjawiskach, stary oberman, kończył zwykle:

— Cierpliwości, mój chłopcze! Wszystko to musi się kiedyś wyjaśnić.

Ztem wszystkiem, wypada zauważyć, że nigdy ani obermanowi ani synowi jego, nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Jeżeli kamień, który spadł pod nogi inżyniera, rzuconym być miał złośliwą ręką, byłby to w każdym razie, pierwszy dopiero zamach przeciwko nim wymierzony.

James Starr twierdził, że kamień sam się oderwał ze sklepienia; ale Henryk nie mógł poprzestać na tak prostem wyjaśnieniu. Jego zdaniem, kamień nie upadł, ale był rzucony, inaczej bowiem nie mógłby w przebiegu swoim zakreślić tak krzywej linii. Widocznie więc był tu występny zamiar, a list bezimienny zdawał się przypuszczenie to uzasadniać. (C. d. n.)

———

Listy z Anglii.

Sygurda Wiśniowskiego.

III.

Londyn w czerwcu 1877.

(Ciąg dalszy.)

Jak gdyby na pociechę po owej wiadomości zaatlantyckiej otrzymałem jednocześnie z nią miesięcznik Harpera — jedno z najznakomitszych w swoim rodzaju czasopism amerykańskich. Celuje ono śledzeniem ruchu artystycznego i naukowego we wszystkich europejskich krajach. Miesiąc też nie upływa bez wzmianki w nim o zasługach Polaków. We wspomnionym zeszycie spotykam pochlebne wspomnienie o czynności Akademii nauk i umiejętności w Krakowie, mianowicie zaś o dwu botanicznych sprawozdaniach p. Janczewskiego. Niemniej pochlebnie wyraża się to pismo o pracy p. Kamieńskiego z Warszawy (o rozwoju Utriculariae), tudzież ilustracyach dołączonych. W tymże zeszycie, w rozprawie nad sztuką w Niemczech, widzę piękny drzeworyt z obrazu Brandta „Kozacy witający step,“ wyborny portret tegoż malarza i następującą wzmiankę o nim: „Brandt należy do rzędu artystów, którzy wprowadzają nas w osłupienie nad artystycznemi skarbami mnichowskiej szkoły. Z pochodzenia jest on Polakiem, z wychowania artystycznego Niemcem (?). Przedmioty swoje wybiera zawsze ze stepów Ukrainy (autor snać nie zna bitwy pod Wiedniem itp.), dzikie, posępne, malownicze, wzbudzające zadumę. Kozacy dońscy (inny wybryk nieznajomości stosunków ukraińskich), kościste, nerwowe, sprężyste, różnobarwne rumaki, żgane ostrogami do łupieży i boju — oto są przedmioty udzielane nam przez niego, w grupach, po trzech, po czterech, w całych szwadronach, maszerujących po brązowym oceanie pustyni, osklepionym skłonem chmur ołowianych. Wiek nasz nie posiada znakomitszego mistrza techniki sztuki, podczas gdy życiem, indywidualnością, charakterem, tonem każdego rumaka i jeźdźca przypomina on nam, iż Moissonier i Detaille mogliby się coś nauczyć od niego.“

Firma Harperów — najznakomitszy dom wydawniczy w Ameryce — celuje sympatyą dla polskich rzeczy i osób — czego dali dowód przeszłej jesieni, przyjmując polskich wystawowych gości w swoim olbrzymim zakładzie. Tygodnik ilustrowany tejże firmy — najlepsze pismo ilustrowane w Ameryce, liczące setki tysięcy przedpłacicieli — nabył kliszę z premium Tygodnika Ilustr. w Warszawie, ze znanego obrazu Siemiradzkiego, który tak się podobał w Filadelfii. Za kilka tygodni cała Ameryka przeczyta biografią nowej gwiazdy polskiej i pozna chociaż z drzeworytu jednę z prac jego.

Z tematu wpadając na temat, a wciąż kręcąc się dokoła polskich spraw, zapomniałem o pierwotnym zamiarze, który mi wetknął pióro do ręki. Chciałem wspomnieć o karnawale sportu angielskiego, w którym uczestniczyłem osobiście i niestety, przegrałem pewną ilość sikspensów, półkoron i rękawiczek. Mówię o tegorocznem Derby. Cały świat i jego żona zakładali się na Francuza, a raczej francuzkiego konia Chamant'a. Od kilku lat szczęście i niedołęztwo angielskich sportsmanów sprzyjały koniom z poza cieśniny kaletańskiej; hrabia Lagrange mianowicie, psuł krew całego angielskiego jockey-klubu. W tym roku nie posiadała Anglia konia, równego Chamant'owi. Na kilka dni przed wyścigami rumak francuzki starł podkolanko o uździennicę, okulał lekko, pozbawił właściciela puli, wynoszącej 6.000 funtów szterlingów, a publiczność przegrała sumy bajońskie do banków sportowych, które jak wiadomo, prowadzą tutaj interes, przypominający waszę loteryą urzędową. Publiczność zakładała się na pojedyńcze konie, jak gracze w loteryą stawiają na pojedyńcze numera. Gdy koń faworyt (czyli numer, na który najwięcej postawiono) przegra, numer zaś, na który nikt nie stawiał, wyciągnie wygraną, łatwo obliczyć zyski panów bankierów.

Kto pamięta Derby, tudzież inne wyścigi angielskie przed kilkunastu laty i zna historyą sportu angielskiego, musi przyznać, że coraz częstsze skargi na zmianę igrzysk narodowych w rozgałęzioną loteryą, połączoną z niezliczonemi oszustwami, nie są bez podstawy. Pokolenie uczciwych właścicieli koni, trenerów i dżokiejów usuwa się z widowni, duch spekulacyjny rozwielmożnił się na dawni Epsomu, Ascott'u i w Newmarket, a nieraz trudno powiedzieć, czy konie przegrywają skutkiem słabości nóg własnych, czy dlatego, iż właściciele jego tak ułożyli swoje zakłady, że klęska konia wyszła na korzyść pańskiej kieszeni, a krzywdę miliona gapiów. Twierdzą także, że coraz popularniejsze wyścigi dwulatek, tudzież zmniejszanie wagi dżokiejów przynosi uszczerbek wytrwałości rasy angielskiej. Bądź co bądź, jest to prawdą niezaprzeczoną, iż najlepsze konie ubiegające się w r. bieżącym na angielskich arenach, pochodzą z Francyi i nawet z Ameryki — stosunek równie nienaturalny, jak gdyby w Sheffild'zie sprzedawano ładugę siecznych narzędzi zagranicznego wyrobu.

Opis świetności Derby, natłoku, gwaru, szaleństw na błoniach w Epsom, byłby setnem powtórzeniem oklepanych frazesów, przypomniał by owe steoretypowe zachwyty nad Niagarą, albo Yosemitem, wypływające z pod piór turystów, którzy wierzą, że odbyli wielką podróż, przepłynąwszy Atlantyk w salonie parowca. Jak w każdym roku tak i w obecnym ulice Londynu wyglądały w dniu owym, jak gdyby je wymieciono z żywych istot — ślepy mógłby się był przechadzać bezpiecznie po najżywszym placu w City, gdyż co żyło wyniosło się do Epsom, od karety lorda, do wózka zaprzężonego osiołkiem, należącego do przekupnia. Na pagórkach i w jarach dokoła Olimpii angielskiej zebrały się owe tłumy, które tylko w małej, przeludnionej, siatką szyn żelaznych okrytej Anglii mogą się zebrać — setki tysięcy ludzi, dziesiątki tysięcy powozów, kędy tylko oko spojrzało. Wzdłuż każdej drożyny, od Londynu do Epsom, od kilkunastu miast prowincyonalnych do Epsom, ciągnęły od świtu do północy gęste procesye — istne powtórzenie wędrówki narodów. Chyba Atylla oglądał równie ludne miasta namiotów, jak owe dzielnice płócienne, co przez parę dni bieliły się na wyżynie, zwanej Epsom Downs.

Widowisko to, powtarzające się co roku — nawet nie raz, gdyż w dniu regaty na Tamizie pomiędzy ósemkami z uniwersytetów Oxford'u i Cambridge, brzegi rzeki zaludniają się milionem widzów — widowisko to powtarzam, wyciągnęło mnie z miasta na wieś. Spędziłem kilka dni na włóczęgach wzdłuż owych drożyn, wyrytych stopami i kołami niezliczonych pokoleń tak głęboko, że pieszy turysta mógłby myśleć, iż

maszeruje wzdłuż dna ciasnego kanonu (jaru) w górach Skalistych. Wszystko takie trwałe, takie stare w tej Anglii — nawet te głębokie ścieżki przez pola, ocienione wiązami przedwiecznemi, wiodące do domów, których szybki oprawne w ołów i kominy olbrzymie, przypominają epokę Tudorów. Szczęśliwy kraj, w którym dzicze tatarskie, od południa i północy, ani hordy niosące cywilizacyą od zachodu, nie rujnowały raz po raz owoców domorodnej cywilizacyi! I piękny też ten kraj, w owych przelotnych czerwcowych tygodniach, gdy klimat pozwala przebiegać go pieszo. Obraz szerokich dolin, leniwych, czystych strumieni, niezliczonych dróg oflankowanych starożytnemi drzewami, tak że kraj cały wygląda z daleka nakształt parku, schludność dworów spotykanych co kilka minut, wszystko to kołysze umysł do spokoju, cofa myśli wstecz do lat ubiegłych. Te dwory, drzewa, nawet żywopłoty głogowe co sieją zawieruchę śnieżnego kwiecia, i te drożyny wydrążone zmieniają się z powolnością konstytucyi angielskiej.

Wędrówka przez tę okolicę doprowadziła mnie wreszcie do Coventry, stolicy jedwabnictwa angielskiego. Dzień był cudny; fale słonecznego światła i cienie chmur pełzały w długich rzędach ponad polami; kraj przypominał olbrzymią skórę lamparcią, w złote i czarne pręgi. Z miasta płynęły akordy dzwonów niezliczonych i ludzkich okrzyków — przypadkiem przybyłem do Coventry w dzień obchodu miejscowego, na cześć Lady Godiwy.

Słyszałem często o tej ceremonii, przechowanej skrupulatnie w Coventry od siedmiu wieków. Tradycya przypisuje jej początek wdzięczności mieszczan względem żony pewnego srogiego barona, co zdobywszy krnąbrny gród szturmem, obłożył go takim haraczem, iż nieszczęśliwi mieszkańcy zeszli na żebraków pod jego brzemieniem. Więc *mylady* zlitowała się nad miastem i upadłszy do nóg mężowi, błagała o zwolnienie kary. Ani młodość, ani uroda małżonki nie wywarły skutku na dzikim, normandzkim najezdniku. Wreszcie zniecierpliwiony zbył ją szyderczem przyrzeczeniem, że nie prędzej zwolni miasto od kary, aż ona objedzie konno jego ulice, w dzień biały, bez odzieży. Lady Godiva wzięła na seryo słowa swojego pana. Mieszczanie usłyszawszy o jej postanowieniu zamknęli się w domach i pozasłaniali szczelnie okiennice, aby pani ich mogła objechać wszystkie ulice w stanie nakazanym przez swojego męża. Tradycya dodaje, że tylko jeden ciekawy krawiec wychylił się na ulicę, za co też oślepł natychmiast, a krawcy żyli w wielkiej poniewierce w Coventry przez kilkaset lat.

Nie rozpisując się nad samotną przejażdżką lady Godivy, wymienię, że od owego dnia objeżdża miasto Coventry raz na rok naśladowczyni tej szlachetnej damy, ale nie samotnie już, lecz przy udziale wszystkich mieszkańców. Przed kilkoma laty, skutkiem zmiany w etycznych pojęciach spółczesnego pokolenia, zaniechano procesyą, lecz konserwatyzm przemógł i w tym roku, odnowiono ją z większą pompą niż kiedykolwiek, sprowadzając lady Godivę z cyrku Astby'a w Londynie. Szczęściem, dzień był pogodny, więc ufam, że nie dostała kataru skutkiem przejażdżki w stroju medycejskiej Wenery.

Widowisko tego rodzaju, spadło na mnie na kształt gromu z czystego nieba w tej Anglii poważnej, *respectable*, ostrożnej w mowie, skromnej w pożyciu. Jestto ostatni zabytek ze spuścizny barbarzyńskich igraszek, którą wesoła Anglia z epoki reformacyjnej, owa *merry England* poetów, przekazała surowej Anglii po reformacyi. Wszystko zniklo — targowica na Smithfield, na której mężowie sprzedawali żony, kowal co łączył miłosne pary w Gretna-Green, saturnalie przy wieszaniu złoczyńców, nawet tak niedawne, publiczne popisy pugilistów. Charakter John Bulla łagodnieje, barbarzyńskie anglosaskie zamiłowania zacierają się — jedno Coventry wita czerwiec procesyą z lady Godivą na czele.

(Dok. nast.)

O twórczości poetyckiej

przez

Juliana Ochorowicza.

(*Ciąg dalszy*).

Niemniej zależnem jest natchnienie od czasu. Pewne pory roku lub nawet dnia więcej sprzyjają twórczości, inne mniej — a nie ma pod tym względem prawa ogólnego, bo warunki zewnętrzne dają tylko ziarno, którego rozkwit zależy od gruntu, a więc od przyrodzonej indywidualności autora. Goethe w listach do Schillera skarży się nieraz na długie zaniedbanie go przez Muzy. „Zaledwie ślady jakiejś twórczości odczuwam obecnie w sobie, pisze on między innemi, jednakże będę jeszcze jakiś czas cierpliwym, z nadzieją, że najbliższe chwile będą lepsze". Ze swej strony Sziller tak pisze w liście do Rheinwalda: „Teraz, drogi przyjacielu, zaczną się wkrótce najwspanialsze chwile, w których jaskółki ukazują się na niebie, a wrażenia do mojej piersi wracają. Z jakiemże pragnieniem oczekuję jej!" — „Zapowiedź wiosny prawdziwie orzeźwiła mnie, na moje zajęcia, które bardzo tego potrzebowały, zlewając nowe życie. Mimo całej naszej wysławianej samodzielności, jakże bardzo jesteśmy z siłami natury związani i czemże jest ta nasza wola, gdy jej natura pomocy odmówi! Nad czem przez pięć tygodni szperałem, tego jeden łagodny błysk słońca przez trzy dni w mej duszy dokonał; wprawdzie mogła moja dotychczasowa wytrwałość rozwój ten przygotować, ale sam rozkwit przyniosło mi niewątpliwie ciepłe słońce wiosenne". — Słowacki przeciwnie oczekiwał raczej jesiennej i zimowej pory, jako zwiastującej mu szybszy polot natchnienia. W listach jego do matki czytamy między innemi: „Tej zimy zamyślam pisać i pisać, jestem jak góra w połogu; prawdziwie nie wiem, jaka jest organizacya we mnie, że się tak w pewnych epokach ożywia myślami, przepełnia, wylewa i znów potem jestem jak Turek przez pół roku po wytrzeźwieniu się z opium — zupełnie zimny i prozaiczny" (str. 114). Wszyscy poeci czynili mniej więcej podobne wyznania, a Holtey wyraża to plastycznie, mówiąc, że gdy czas natchnienia przeminie, jest jak zużyta cytryna, którą choćbyś nie wiem jak cisnął, już z niej zdrowego soku nie wydobędziesz.

Co się tyczy wpływu epok życia, to łatwo się domyśleć, że musi on również mniej lub więcej oddziaływać na płodność poetycką, a zarazem nadawać jej pewien charaktar. Stara to prawda, że najwłaściwszą epoką poezyi jest młodość, ta młodość, która wierzy, która się unosi, która kocha i nienawidzi, nie licząc się z względami towarzyskiemi, nie krępując żywszego polotu swej fantazyi, filisterskiemi pętami rozsądku. A jeśli wraz z epoką młodości nie zamyka się twórczość poety, jeśli ona nieraz dojrzalszą tylko przybiera postać — to jednak jakże wiele w tej postaci cech odrębnych, jak często odbija się w nich myśl inna i czucie inne, a przedewszystkiem siła inna! Przeskok bywa często bardzo wielki — ot taki jak od pierwszej części Fausta do drugiej, jak od „Listów perskich" do „Ducha praw", jak od „Pieśni Janusza" do „Stryjanki".

Są jednak organizacye poetyckie, na które wiek mało wpływu wywiera — młodzieńczy, dziecinny niemal nastrój, towarzyszy im aż do grobu. Autor „Damy Kameliowej" miał powiedzieć o autorze „Trzech Muszkieterów": „Mój ojciec jest wielkiem dzieckiem, które miałem, Kiedym był bardzo maleńki". A jeśli Aleksander Dumas był i pozostał dzieckiem, to Wiktor Hugo był i jest dotychczas młodzieńcem, a Kraszewski jest i długo jeszcze pozostanie mężem. Ale niechże kto napisze po 60tym roku życia „Starą Baśń", nie napisawszy przed 30tym „Poety i Świata" albo „Ulany"! Można być młodym jeszcze w starości, ale nie dopiero w starości.

Lecz i tu wiele znaczy rodzaj pracy; można zacząć pisać w późnym wieku tak jak Molière, i po 46tym roku życia wydać jeszcze takie dzieła, jak: *le Misanthrope, le Tartufe, l'Avare, le Bourgois gentilhomme, les Femmes savantes* — ale nie utwory *liryczne*, których produkcya nie zaczyna się już, jeśli się nie zaczęła w młodości. Poeci, którzy młodo umarli — byli to prawie wyłącznie lirycy — twórczość dramatyczna wymaga więcej doświadczenia, ażeby się pojawić — a przytem łatwiej jeszcze jest napisać w 20tym roku życia dobry dramat, niż dobrą komedyą, poemat łatwiej niż dramat, a odezwę poetycką, łatwiej niż poemat; jestto bowiem epoka, w której reformujemy świat — a dopiero w następnej zaczynamy reformować siebie. W starości przeciwnie, łatwiej jest napisać pamiętnik lub gawędę, aniżeli dramat, a dramat łatwiej, aniżeli powieść poetycką. Ale ktoby dziś stawiał granice stanowcze twórczości wobec zmian, jakie cywilizacya wprowadziła do naszych pór życia! Starzejemy się przed wiekiem dojrzałym, wiek młodzieńczości ścieśnia się coraz bardziej a nieraz znów starość dopiero odrywając nas od gorączkowego wiru życia, wraca nam refleksyą wieku dojrzałego, a nawet... porywy młodości. Zresztą jeżeli która władza duszy, to najkapryśniejsza z nich fantazya zależy przedewszystkiem od temperamentu i charakteru jednostkowego — a choć nie przestaje podlegać ogólnym prawom przeobrażeń, wydaje jednak tyle różnorodnych modyfikacyj — że tylko statystyka bardzo rozległa mogłaby zatrzeć piętno małych liczb na korzyść wielkich. A w tych *ogólnych* zarysach, o ile one objąć się dają, pozostaje prawdą, że przez lirykę dopiero wznosi się twórczość do dramatu i powieści, a przez dramat i powieść zniża się do gawędy; pozostaje prawdą i to także, że droga do gościńca wiedzy ścisłej prowadzi przez łąki i gaje fantazyi, że Pascal jako matematyk i filozof, Decandolle jako botanik, Ampère jako fizyk, Rousseau jako socyolog i filozof zaczęli od... pisania *wierszy*.*) I nic dziwnego; kto nie pisał wierszy w młodości nie może być dobrym pisarzem; co więcej, kto w ten sposób nie przejawił swojej fantazyi gdy był

*) W kwestyi epok twórczości porównaj: *Deschanel* loc. cit. str. 67., *Fischer* loc. cit. str. 123., *Quetelet*, Physik Sociale T. II., 370 etc.

młodzieńcem, ten jej nie znajdzie na starość — a bez fantazyi ani matematyka, ani nauki przyrodnicze, ani nawet filozofia obejść się nie mogą. Geniusz rozumu jest dzieckiem geniusza fantazyi.

Dlaczego? Czyżby rozum sam przez się nie mógł tworzyć rzeczy wielkich? — Bezwątpienia *nie*. Wbrew wszelkim teoryom etycznym, które każą rozumowi, jako takiemu, tworzyć czyny i panować nad niemi — jest on do tego najzupełniej, ale to najzupełniej niezdolny. Tylko *uczucia*, tylko *namiętności*, tylko *popędy* pobudzają człowieka do czynu, nie pojęcia, idee, abstrakcye. Namiętność niskiego rzędu może być pokonana przez namiętność szlachetną, uczucie duchowe może przeważyć nad uczuciem zmysłowem, ale nie myśl, jako myśl, nie rozumowanie jako rozumowanie. Tem mniej zaś pobudzać może umysł do *twórczości* artystycznej idea, która wstydzi się tego, że jest tylko firmą dla *uczuć*. Rola obojętnych idei w życiu jednostki jest równie pozorną jak rola dyplomacyi w życiu narodów. Zdaje nam się, że dyplomaci tworzą wojnę lub pokój, a tymczasem tworzą ją uczucia, potrzeby, skłonności, namiętności mas. Rozum wobec temperamentu, potrzeb i usposobienia jednostki, dyplomacya wobec charakteru, potrzeb i obecnego nastroju narodów, to tylko forma, często blada, bardzo często fałszywa — dla właściwej treści. Siła czynu, nie jest siłą rozumowania; światło oświecające maszynę nie jest siłą jej ruchu, chociaż ono dopiero ruch ten widocznym czyni — i nawet słońce nie dlatego porusza ziemię, że ją *oświeca*. A rozum oświeca tylko, nie rozgrzewa, nie pobudza, nie tworzy; — i prędzej senne marzenie wpłynie na postępowanie człowieka, niż chłodne rozumowanie — bo w marzeniu jest składnik żywszy od idei — *uczucie*. Fantazya jest dlatego twórczą władzą, że w niej treść *wyobrażalną* porządkują uczucia, a nie sama siła zależności logicznych. I tu właśnie dochodzimy do wyznaczenia nowej cechy, wyróżniającej natchnienie od mniej bujnych stanów ducha; cechą tą jest: *udział uczuć*.

Stan podniecony fantazyi, zwany natchnieniem, powstaje wtedy, gdy kolizya lub szybkie po sobie następstwo dwu uczuć, wstrząsną organizmem — gdy nim wstrząsną, nie naruszając jednak równowagi. Najczęściej skutek ten wywołuje wrażenie przyjemne uczuciowe, padając na grunt uczuć smutnych. Melancholia prowadziłaby do apatyi, ale wiadomość o powodzeniu, oklaski, pochlebstwa, serdeczne objawy życzliwości dają jej siłę twórczą, której nie stworzą tam, gdzie nie było smutku, gdzie nie było posępnych samotnych marzeń, cierpienia. Rzadziej odwrotna kolizya budzi twórczość — gdy mianowicie śród wesela, powodzenia spokojnego, sympatyi, padną na ich grunt wrażenia zawiści, szyderstwa, urągania, ale i wtedy silniejsze duchy zrywają się do lotu, właśnie mocą tego poczucia kontrastu. Niepowodzenie staje się motorem współzawodnictwa, szlachetnej emulacyi, podobnie jak powodzenie — bo i tu, gdzie chodzi o wyjątkowo bujny stan fantazyi, tak jak i w ogóle w twórczości poetyckiej, źródło jej natchnień jest podwójne: zarówno w zadowoleniu z dodatnich form życia, jak i w niezadowoleniu z ujemnych. Ale mylą się dawni estetycy dając przewagę tym ostatnim. Myli się Deschanel, mówiąc, że marzymy *tylko* o tem, czego nie mamy, że ideał nasz jest *zawsze* dalekim od nas", bo wszakże poeta ubóstwiający swą kochankę, głoszący sławę rodzinnej broni po zwycięztwie, wracający do ojczyzny po tułactwie i witany otwartemi ramiony, może równie gorąco zamarzyć, równie gorącą pieśń stworzyć, jak wówczas, gdy z serca jego wyrywa się okrzyk zwątpienia, tęsknoty, rozpaczy. Przyznawać przewagę pobudkom negatywnym, mówić, że wyłącznem źródłem poezyi jest niezadowolenie z życia, jestto nie znać natury ludzkiej. To co przewodniczy wszystkim czynom człowieka, nie nazywa się wstrętem do cierpień, lecz *dążeniem do szczęścia*. Siła ta jest z natury dodatnią nie ujemną. Odporność negacyi jest konsekwencyą twierdzenia, nie zaś odwrotnie. I w sztuce człowiek tworzy dlatego, że znajduje zadowolenie, a potem dopiero pobudza go do twórczości niezadowolenie. Jeśli powiedziałem wyżej, że artysta nie czułby potrzeby do tworzenia ideałów, gdyby wokoło siebie tylko ideały znajdował — to tak samo należałoby powiedzieć, że nie czułby potrzeby tworzenia ideałów, gdyby żadnych wokoło siebie nie znajdował. Dopiero dwa te zdania razem wzięte, objawiają całkowitą prawdę. Tylko więc z zastrzeżeniem możemy uznać słuszność następujących uwag Saint-Marc Girardin'a: „Imaginacya kocha to, i szuka przedewszystkiem tego, czego nie ma. Gdy wojna domowa wstrząsa i zakrwawia społeczeństwo, imaginacya chętnie tworzy idylle, głosi pokój i cnotę. Gdy przeciwnie, społeczeństwo uspakaja się i odpoczywa, imaginacya nabiera gustu do zbrodni. Jest ona jak ów kupiec Horacego: „wysławia spokój nadbrzeżny, gdy burza huczy na morzu; kocha się w falach i gromach, gdy okręt wrócił do przystani". W tej formie zdanie jest zbyt stanowcze i wolałbym użyć raczej innego zwrotu dla podobnej myśli, tak jak go pani George Sand podaje. *La petite Fadette* pisana pod tchnieniem strasznych dni czerwcowych 1848, zawiera między innemi taki ustęp: „W czasach, kiedy złe wynika z tego, że ludzie nie znają się i nienawidzą, *powołaniem* artysty jest opiewanie łagodności, zaufania, przyjaźni i przypominanie w ten sposób zatwardziałym i zgnębionym, że obyczaje czyste, uczucia tkliwe, że dawna sprawiedliwość są jeszcze, lub są jeszcze możliwe na tym świecie".

(C. d. n.)

Ruch społeczno-ekonomiczny.

II.

W sprawach ekonomicznych naszego kraju zwrócono ostatniemi laty główną uwagę na kwestyą wyzyskiwania ludu wiejskiego i wszystkich potrzebujących kredytu osobistego, przez lichwę, która przybrała u nas prawdziwie przerażające rozmiary. Ruch podniesiony w tym kierunku, ażeby szalonemu temu wyzyskiwaniu położyć tamę, wzmaga się coraz silniej a w ostatnich tygodniach możemy znowu zaznaczyć pewne na tej drodze postępy. I tak *ustawa przeciw lichwie*, której się sejm krajowy przez lat kilka domagał, została przecież przez wiedeńską izbę posłów uchwaloną, a nie ulega już prawie wątpliwości iż przejdzie szczęśliwie wszelkie ustawodawcze instancye i wejdzie wkrótce w życie. Ustawa ta usunie tę w naszych stosunkach anomalią, iż sędzia chociaż najoczywistsze miał dowody że w interesie kredytowym wyzyskano w najhaniebniejszy sposób niewiadomość i kłopotliwe położenie dłużnika, musiał jednak wierzycielowi przyznawać całą wekslową czy też w inny sposób zeznaną wierzytelność, bez względu czy procenta były uczciwym zyskiem czy też najpospolitszem zdzierstwem. W ten sposób przyznawano czasem tysiące, powstałe przez dopisywanie lichwiarskich procentów i obliczanie od tak zwiększonego kapitału nowych znowu procentów. Temu zapobieży nowa ustawa, dająca w takich wypadkach sędziemu bardzo obszerną władzę do działania nie według litery dokumentu, lecz według swego sumiennego przekonania. Pozornie wydawać się ona może pogwałceniem wolności kapitału, jednak taka teoretyczna swoboda ekonomiczna musi mieć swoje granice tam, gdzie się już przedzierżgnie w swobodę rozboju, dokonywanego na człowieku ciemnym, nie mogącym zmierzyć całej doniosłości swego zobowiązania wobec lichwiarza zbrojnego we wszelkie sztuczki i sposoby obałamucenia.

Gdyby jednak w pracy nad złamaniem lichwy i zapobieżeniem wywłaszczeniu ludu i wzrostowi proletaryatu, poprzestano na samem tylko wydaniu ustawy, cel nie zostałby osiągniętym. Trwożliwsza część kapitału, który się dotychczas ku osobistemu zwracał kredytowi, musiałaby się cofnąć, a na placu zostałby tylko kapitał będący w ręku śmielszych, gotowych do wszystkiego, byle tylko osiągnąć zyski, a przebiegłych do tyla, że znaleźliby sposoby obejścia nowej ustawy. Wyzyskiwanie nie ustałoby, tylko z większemi trudnościami mając do walczenia, rozciągałoby się na mniejszą liczbę ofiar. Chcąc mu zapobiedz, należy kapitałowi lichwiarskiemu rzetelne stworzyć współzawodnictwo, powołując do życia racyonalne *instytucye kredytowe*, działające z całą świadomością odrębnych stosunków i usposobienia naszej wiejskiej ludności. *Ankieta kredytowa* Wydziału krajowego miała na celu zbadanie tej sprawy i podanie środków, którym niby kraj mógł przyjść w pomoc usiłowaniom w tymże kierunku podejmowanym. Wyniki, do jakich ankieta doszła, ogłasza obecnie sprawozdawca jej dr. Tadeusz Skałkowski, w czasopismie „Związek" — organie Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. Ważna ta i ciekawa praca, na którą zwracamy uwagę czytelników naszych, wyjdzie w osobnem odbiciu. Wyniki zaś prac tej ankiety są następujące: Uznano, iż oprócz lichwiarskiego, jest jeszcze inny rodzaj kredytu dzisiaj ludowi wiejskiemu dostarczanego, bardzo dla niego szkodliwym, mianowicie hipoteczny kredyt włościańskich banków, który doprowadza także do wywłaszczenia. Uznano zatem potrzebę stworzenia instytucyi krajowej na wzór czeskiej, dla kredytu hipotecznego mniejszych właścicieli, którąby nie była obliczoną na zyski, oprócz przyzwoitego oprocentowania listów zastawnych; a mając gwarancyą kraju mogła dla listów wyrobić kurs wysoki. Gdy jednak kredyt włościański u nas ma przeważnie cechę osobistego, ponieważ rzadko kiedy bywa użytym na takie podniesienie samego gospodarstwa, ażeby zwiększony dochód jego mógł zwrócić procent wraz z umorzeniem kapitału, przeto należało najbaczniejszą zwrócić uwagę na instytucye, któremiby można ludowi kredytu tego przysporzyć w sposób taki, ażeby on nie był jak dotąd mieczem w ręku szalonego, ażeby nie był nadużywanym ze zgubą samegoż dłużnika. Takiemi instytucyami są *Towarzystwa zaliczkowe*, które chociaż dopiero od trzech lat zaczęły w większej liczbie powstawać, jednak już się bardzo pomyślnie rozwinęły i wielkie zasługi ludności oddają! (Dok. n.)

Wojna na morzu.

(*Dokończenie*).

Jeżeli okręt napadnięty, chroniony jest przez siatkę, o której wyżej wspominaliśmy, to na przodzie torpedy umieszczony jest przyrząd, który o tem znać daje; nie wywołuje się wtedy wybuchu i „Alarm" stara się przedewszystkiem zniszczyć tę przeszkodę.

Pytanie, jak się zachowa „Alarm" wobec potężnych dział monitorowych, jest bardzo ważnem, jednak, jak się zdaje, może być dla niego pomyślnie rozwiązanem. Od uderzenia kul w boczne ściany jest dobrze zabezpieczony, gdyż cały prawie zanurza się w wodzie. Po nad wodą widać tylko prawie sam pokład, który jest grubą stalową blachą pokryty i chroni machinę parową od pocisku. Zresztą, na pokład mogą tylko kule uderzać pod kątem bardzo małym, co naturalnie, zmniejsza ogromnie ich działanie.

„Alarm" zbudowany jest według planów

admirała Dawida Portera. Według tego typu ma być zbudowana cała flota amerykańskich torpedowców.

We Francyi przewagę otrzymał typ inny, który się tak ma do amerykańskiego, jak lekka polowa baterya do bateryi dział większego kalibru. Francuzi dali pierwszeństwo, sądząc z prób na wielką skalę w Cherbourgu robionych, małym łodziom torpedowym niosącym jednę torpedę. Zadaniem takiej łodzi jest zbliżyć się tajemnie, o ile można, do nieprzyjaciela i z narażeniem własnego słabego istnienia, sprowadzić wybuch jak można najbliżej obcego statku. Łódź taka musi działać podstępnie i unikać dnia białego. lub jasnej księżycowej nocy, bo gdyby ją ujrzano, jeden dobrze wymierzony strzał wystarczyłby na jej zniszczenie. Musi ona wyczekiwać ciemnej nocy, lub mgły wielkiej tak często się na morzu przytrafiającej w chłodnych dniach, kiedy powietrze jest zimniejsze od nagrzanego poprzednio morza. Chwile gęsto padającego śniegu lub deszczu, kiedy łódź dopiero o sto stóp odległości dostrzedz można, są dla nich także odpowiedniemi. Łódź torpedowa stara się jak najprędzej ubiedz w koło bezpieczniejsze od pocisków armatnich; wiadomo bowiem, że armaty źle się dają celować, gdy są na dół pochylone, a tembardziej, gdy trzeba celować do szybko biegnącej łodzi. Potem pędząc ciągle naprzód, dobiega do statku i wyrzuca na drągu torpedę, uderzając nią o ścianę. Jeśli okręt jest strzeżony siecią, to zatrzymawszy się przy niej, stara się, wysunąwszy drąg po nad siecią, sprowadzić wybuch według możności najbliżej ścian okrętu nieprzyjacielskiego.

Naturalnie, że łódź sama jest mocno narażona i bardzo łatwo zginąć może; jednak trzeba pamiętać, że takim jest los wojny, i że zguba wielkiego okrętu nieprzyjacielskiego opłaci sowicie stratę kilku ludzi kierujących łodzią.

Przy próbach w Cherbourgu używano łodzi zbudowanych w Anglii przez Thorneycrofta. Są one stalowe i chociaż mają zaledwie 64 stóp długości, to jednak biegną nadzwyczaj prędko, bo z szybkością 19 węzłów na godzinę. Machina parowa posiada siłę 200 koni.

Podajemy opis prób cherbourgskich według opisu specyalnego sprawozdawcy „Timesa". Admirał Jaurez komenderujący eskadrą, oddał na próbę stary okręt „Bayonnaise", który był holowany na długiej linie za pomocą parowca. Porucznikowi Lemoine zaproponowano dopędzenie tego statku na łodzi torpedowej i wysadzenie go w powietrze. Przyjął on tę misyą bez wahania i wziąwszy z sobą do pomocy dwu mechaników do machiny parowej i sternika, wszedł do środka łodzi wystającej bardzo mało po nad powierzchnię wody i pomalowanej na szaro, tak że ją z trudnością odróżnić można było od powierzchni morza. „Bayonnaise" stała na froncie eskadry, a łódź torpedowa była od niej o cztery mile morskie odległą. Na dany sygnał oba statki ruszyły z miejsca; „Bayonnaise" holowana przez parowiec, uciekała w prostej linii, a łódź biegła ukośnie w celu napadnięcia jej z boku. Okręt uciekał z szybkością 14 węzłów na godzinę i pogoń trwała około godziny. Nareszcie zbliżyła się już łódź na bardzo niewielką odległość i wszyscy oczekiwali stanowczej chwili, w przekonaniu, że wybuch torpedy zniszczy razem i małą, drobną łódź torpedową. Wszyscy byli przekonani, że się na tej próbie poświęca życie odważnego porucznika i jego towarzyszy. Nareszcie oba statki się spotkały i nastąpił wybuch. Morze wzburzyło się okropnie, usłyszano huk przytłumiony i „Bayonnaise" szybko się w wodzie pogrążyła. Łódź torpedowa odskoczyła w skutek silnego uderzenia, zanim jeszcze wybuch nastąpił, o stóp 50 w tył, potem obróciła się kilka razy na wirach olbrzymich i spokojnie wróciła do eskadry.

Oba opisane przez nas systemy statków torpedowych można uważać za typy, według których i inne marynarki swe floty uzupełniać będą. Jak już o tem wspominaliśmy, wszystkie te ważniejsze ulepszenia nie odbyły prawdziwej, ogniowej próby; robiono z niemi najrozmaitsze wprawdzie doświadczenia, odbywano wielkie manewry, lecz w wojnie nie były jeszcze zastosowane i o ich praktycznem znaczeniu można będzie dopiero ostateczny sąd wydać po rezultatach na polu walki otrzymanych. A zdaje się, że wojna obecna nastręczy do tego dosyć sposobności.

B. Abakanowicz.

Piśmiennictwo polskie.

(*„Nasze życie." powieść współczesna przez M. D. Chamskiego.*)

Tytuł jest czemś więcej dla książki, niż nazwisko dla człowieka. Z nazwiska nic jeszcze nie można wnioskować o osobie, przynajmniej o jej wewnętrznej wartości, o charakterze i skłonnościach, z tytułu można czasem dość wiernie wnioskować o książce. Naturalnie mówimy tu głównie o powieści. Tak naprzykład biorąc do ręki powieść z jakimś jaskrawym tytułem, możemy domyślać się, jakiego rodzaju publiczności ta książka przedewszystkiem chce się polecić i rzadko się omylimy, wnioskując, że autorowi chodzi tu zapewne głównie o drażnienie wyobraźni i ciekawości czytelnika za pomocą barwnych i napiętych sytuacyj i pełnych efektu niespodzianek, a zato architektoniczny plan powieści puszczony na łaskę przypadku. W powieściach mających treść silną, a przynajmniej silnie skupioną, czy to w głównej osobie, czy w głównym wypadku opowiadania, ta jedność, ta skupioność treści mimowolnie wyrazi się w tytule. Dla takiej książki autor nie potrzebuje smażyć głowy, dobierając tytułu; tytuł sam wysuwa się z książki i staje na pierwszej stronicy.

Mogą być nareszcie powieści, których ogólnikowy, niewyraźny, niepewny tytuł uprzedza, że i w treści panuje jakaś niepewność, że brak w niej głównego ogniska, skupiającego w sobie wszystkie promienie uwagi widza.

Do takich powieści należy „Nasze życie" pana Chamskiego. Tytuł jest tak ogólnikowy, że możnaby podeń podsunąć całą naszą literaturę powieściową, ba nietylko powieściową, ale i polityczną, społeczną i moralną, i zawsze byłoby dobrze.

Czy to jest pretensyonalność ze strony autora, czy tylko skutek organicznej wady powieści? Po przeczytaniu powieści potrzeba zgodzić się na drugie przypuszczenie. Autor bynajmniej nie daje powodu do zarzutu zarozumiałości, i jeżeli ochrzcił swój utwór tak niesłychanie ogólnikowem nazwiskiem, to uczynił to najpewniej dla tego, że żaden wyraźny, szczegółowy tytuł nie nastręczał mu się z samej treści.

Powieść dzieli się na trzy części, w pierwszej części rzecz dzieje się w zaborze pruskim, w Toruniu i jego okolicach. Po krótkiej ale wdzięcznej charakterystyce miasta wprowadza nas autor do przedmiejskiego dworku otoczonego kląbami róż i ocienionego drzewami. Tu mieszka Zosia „wysmukła dziewczyna z twarzą białą, leciutko zarumienioną i z szyją prawdziwie królewską," jedna z bohaterek powieści, bo ich jest dwie i żadna z nich nie ma racyi ustępować pierwszeństwa drugiej.

Zosia mieszka przy matce, a w okolicy ma bogatego stryja i opiekuna, pana Jacka, który odznacza się przedewszystkiem nienawiścią do Niemców. Jest w Toruniu kupiec Giese, Niemiec, ale Niemiec poczciwy, nie należący do natrętnej szarańczy kulturtraegerów. Żoną jego była Polka i z tego małżeństwa pochodzi młody Gustaw, chłopak dobry i piękny. Na pacierzu polskim od matki nauczył się myśleć i mówić po polsku, a w jaki sposób ostatecznie już po śmierci matki został Polakiem, to niech sam opowie: „Mając już lat czternaście, pokłóciłem się z jednym kolegą, który w gniewie krzyknął na mnie: „ty przeklęty Polaku!" Po raz pierwszy nazwano mnie Polakiem... Nie wiem, doprawdy, nie jestem w stanie opowiedzieć, co się we mnie działo. Krew mi uderzyła do głowy – byłem tak dumny z tego, com usłyszał, że zdawało mi się, iż mnie jaki król za najszlachetniejszy czyn na rycerza pasował."

Gustaw i Zosia pokochali się, ale stryj, opiekun dowiedziawszy się o sentymentach Zosi, pomimo miłości dla synowicy, kładzie *veto* i odsuwa od niej Gustawa, w którym widzi Niemca. Odsunięty Gustaw ma jeszcze sposobność widzenia się z Zosią i z tej krótkiej chwili wynosi zasób szczęścia, choćby na całe życie. Powiedziano mu, że jest kochany i pożegnano go łzami.

Na tem kończy się krótki romans Gustawa i Zosi w pierwszej części. Za to wprowadzony jest drugi, tak luźnie idący obok pierwszego, że możnaby go było zupełnie wyrzucić, prawie w niczem nie naruszywszy tamtego.

Jest w Wielkopolsce na Pałukach wioska Kotlina, (a co to są Pałuki, to autor obszernie i dowcipnie wyłuszcza), a w tej wiosce mieszka panna Marya, nazwana w okolicy Świtezianką, jak się zdaje, tylko dla tego, że jest ładną i że ma jezioro pod bokiem, po którem może przejeżdżać się łódką. Autor dużo mówi sam o niej, o jej jakiemś niejasnem pochodzeniu, które zresztą w dalszym ciągu powieści prawie żadnej nie odgrywa roli, o jej oryginalnej piękności; ale pomimo to wszystko, Świtezianka pozostaje dla nas mniej zrozumiałą i sympatyczną od Zosi.

W drugiej parze ze Świtezianką stoi pan Bolesław. Typ to szczęśliwie uchwycony niespokojnego i kochającego się w brawurze młodzieńca, ale pierwsza scena poznania się Bolesława z Maryą, przedstawia nam go nieco śmieszniejszym, niż jak się zdaje, autor tego pragnął. Bo proszę sobie wyobrazić, Świtezianka pływa łódką po jeziorze przy świetle księżyca, a tu jakiś nieznajomy jeździec rzuca się z koniem w jezioro, dopływa do łódki i na podstawie „mimowolnego uśmiechu" Świtezianki, pakuje się do łódki i tam się dopiero rekomenduje. Każdy się domyśli, że ktoś używający przejażdżki konnej po jeziorze, musi być do połowy zmoczony, i że zatem, aby składać w ten sposób pierwszą wizytę pannie, nie dość być ekscentrykiem, ale jeszcze trzeba być koniecznie gburem.

Ale Bolesław to najlepszy chłopiec, tylko się nie może ustatkować. Ojciec jego, pułkownik i przyjaciel ojca, znany nam p. Jacek, stryj Zosi, postanawiają zaradzić temu. W jaki sposób? Ożenić. Z kim? Z Zosią. Naturalnie układają plan taki, żeby obie strony nic nie wiedziały o układzie. Ale Bolesław zakochany już od owej sceny na jeziorze w Świteziance, zwąchał pismo nosem, porozumiał się z Zosią, która ciągle kocha Gustawa i plan ojcowski w krótszym czasie przepadł, niż był układany, Bolesław tymczasem robi wizytę Świteziance, ale już nie na jeziorze, tylko w jej domu, i wyznaje jej miłość. Świtezianka odpowiada mu na to nauką moralną, bardzo zdrową, choć może za mądrą dla młodej panny. „Gdyby nawet pokochała mężczyznę, to by kazała zamilknąć sercu, jeżeliby to był człowiek niepoczuwający się w życiu do żadnych obowiązków."

Na tem się kończy część pierwsza. Dwa romanse idą obok siebie równolegle, nie wiążą się z sobą żadnym silnym wewnętrznym węzłem i rozpraszają uwagę czytelnika nie pozwalając jej skupić się na jednej parze. W drugiej części dekoracya i tok rzeczy zmienia się zupełnie. Jesteśmy na polu walki 1863 r. w lasach gubernii augustowskiej. Tutaj koleje obu bohaterów powieści, Gustawa i Bolesława, zlewają się, a właściwie toną w kilku bardzo szczęśliwie i wiernie nakreślonych obrazach z życia powstańczego i więziennego, i dopiero pod koniec drugiej części wydobywają się z ogólnego obrazu, ażeby w trzeciej znów oddzielnie dążyć do rozwiązania.

Druga część wydaje nam się najlepszą z całej powieści, ale nie jako część romansu, tylko jako kilka luźnych obrazów z powstania. Obozowisko, bitwa w lesie, charakterystyka dowódców, nareszcie sceny w więzieniu, wszystko to musiał zaczerpnąć autor

z własnych wspomnień, wielka bowiem prawda tryska ze wszystkich tych obrazów. Nie ma tu bezwzględnej apoteozy powstania, i owszem sceny w więzieniu uwydatniają aż nadto rażąco jednę z naszych głównych wad narodowych — lekkomyślność.

Gustaw i Bolesław biorą udział w powstaniu, obaj walczą odważnie, obaj ledwie wykręcają się od śmierci, ale kiedy Gustawowi udaje się umknąć za pruską granicę, Bolesława wysyłają do Tobolska.

W trzeciej części znów się przenosimy do Torunia i na Pałuki. Zosia zwiedziona mylną wieścią drukowaną, opłakuje śmierć Gustawa. Stryj, który już inne uczucia żywi dla mniemanego nieboszczyka Gustawa, chciałby Zosię koniecznie ożenić i przedstawia jej jakiegoś uczciwego młodzieńca, jako konkurenta. Zosia przez wzgląd na gorącą chęć stryja gotowa oddać rękę temu młodzieńcowi, ale uprzedza go z góry, że kocha tylko tego. który już nie żyje. Nic to nie przeszkadza do zawarcia małżeństwa, już wszystko przygotowane, już zapowiedzi wyszły, już państwo młodzi w kościele, już ksiądz wyszedł do ołtarza, już ceremonia się rozpoczęła, kiedy — i któż się nie domyśli? kiedy Zosia spostrzega w kościele Gustawa, no i naturalnie ceremonia się przerywa, ażeby się powtórzyć trochę później, ale z małą zmianą. Zosia wychodzi za Gustawa, który już dowiódł jej stryjowi, że nie jest Niemcem.

Dzieje drugiej pary toczą się osobno i dadzą się w kilku słowach opowiedzieć. Świtezianka, dla której Bolesław już nie jest człowiekiem nie poczuwającym się do obowiązków, jedzie do Tobolska, tam oddaje rękę Bolesławowi, i z uwolnionym powraca na ziemię rodzinną.

Szlachetna tendencya, wielki dar spostrzegawczy, uwydatniający się w licznych luźnych scenach i obrazkach, język czysty i płynny, czasem, szczególnie w ustach osób z warstw niższych tchnący wielką świeżością, to są główne zalety powieści pana Chamskiego. Organiczną wadą jest brak ściśle spojonej treści. Do innych wad należy zaliczyć: pewną gadatliwość w dygresyach, jak np. przy porównaniu serca z zającem (str. 89), pewną rozwlekłość w dyalogach, którym zresztą naturalności nie można odmówić, parę niezręcznych gonitw za efektem, jak np. scena na jeziorze i scena w kościele, wprowadzanie zbyt luźnych epizodów, które z osobna wzięte zasługują na pochwałę, ale z wątkiem powieści nie są dostatecznie powiązane, a przedewszystkiem brak wewnętrznego życia głównych postaci, które wprawdzie dużo mówią, ale mimo to, nie są dość wymowne. Czytelnik chce przedewszystkiem wiedzieć co one czują, i jak kształty zewnętrznych wypadków odźwierciedlają się w ich duszy, a pod tym względem „Nasze życie" nie czyni zadość jego wymaganiom. *J. T.*

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XXII.

Rubikon... chciałem powiedzieć: Dunaj, został przekroczony pośród gradu kul, ognie sztuczne na Kisielce zostały spalone pośród strumieni deszczu, a Osten-Sackena wypuszczono z kozy pośród całej nawałnicy pocisków dziennikarskich odbijających się bezskutecznie od sielankowego puklerza *Gazety Lwowskiej.*

Oto i wszystko co nam przyniósł ubiegły tydzień.

Reszta dopiero w projekcie: wycieczka przyrodników dziś ma się odbyć, zjazd pedagogów odbędzie się 17, 18 i 19 lipca w Tarnopolu, pierwsze posiedzenie klubu politycznego odłożono, Moskale nie zwrócili jeszcze wagonów pożyczonych od kolei Karola Ludwika, pana Limanowskiego nie uwolniono jeszcze z więzienia, panna Deryng nie przyjechała jeszcze do Lwowa, Delegacya wciąż milczy, a Towarzystwo święcenia niedzieli jeszcze nie zaczęło jej święcić naprawdę—jednem słowem jesteśmy dopiero w epoce pobożnych życzeń i dobrych chęci.

* * *

Wycieczka przyrodników, jeśli tylko pogoda posłuży, będzie należała do najprzyjemniejszych i najpożyteczniejszych. Uczestnicy wyruszą ze Lwowa o godz. 6ej rano, skonsumują śniadanie w Szczercu o godz. wpół do 9ej, zwiedzą następnie pokłady gipsu, a gdy zamówione podwody nadejdą, orszak posunie się w kierunku Lubienia, obserwując po drodze jak i gdzie trawa rośnie, ażeby z kolei zwrócić się do badań przyrodniczych nad wonią zakładu zdrojowego w Lubieniu i zasilić przyśpieszoną przemianę materyi wspólnym półtoraguldenowym obiadem w miejscowej restauracyi. Z tak wzmocnionemi siłami uczestnicy będą mogli przejść od badań mineralogicznych i botanicznych do zoologicznych, łowiąc raki lub gąbki w stawie czerlańskim, ku czemu przygotowaną będzie odpowiednia ilość łodzi — bez torped. Przybywszy na miejsce, literaci będą mogli przypatrzyć się jak się robi papier i zastanowić się nad skutkami nadmiernej jego produkcyi.

O zmierzchu zaś nastąpi melancholiczny powrót do Lwowa koleją przez Gródek, przyczem panowie przyrodnicy będą mieli dość czasu, ażeby przejść od spostrzeżeń przyrodniczych do refleksyj filozoficznych, na temat proponowany jeszcze przez Heraklita, że nic nie ma trwałego pod słońcem i że każda rzecz ma swój koniec.

* * *

Ściślejszy charakter będzie miał zjazd pedagogiczny, na który wybiera się mnóstwo osób z całej Galicyi. Będą i tam rozrywki, ale obok odczytów naukowych, a toasty obok poważnych dyskusyj. Członkowie Towarzystwa chcący w tem walnem zebraniu uczestniczyć, powinni wcześnie zawiadomić sekretarza tarnopolskiego, profesora Świechlę, celem przygotowania w mieście odpowiedniej ilości mieszkań.

* * *

W tych dniach bawił chwilowo w naszem mieście w przejeździe z Petersburga do Niemiec śmiały obrońca sądowy i wydawca warszawskiego „Ateneum" dr. Włodzimierz Spasowicz. Porzuca on stanowczo karyerę adwokacką i zamierza poświęcić się wyłącznie pracom naukowym i literackim.

* * *

Czy redakcya *Ruchu Literackiego* wierzy w sny, czy nie wierzy? Takie pytanie nasunęło nam się mimowolnie po przeczytaniu 25 Nru tego pisma. Czytamy tam między innemi: „Po Konstantynopolu krąży anegdota, która z ust do ust przechodzi a wszyscy ją powtarzają jako fakt rzeczywisty. Abdul-Hamidowi pewnej nocy śniło się, że spadł z konia i że go napowrót nań wsadził Midhat-basza. Nazajutrz wezwał do siebie Wielkiego Wezyra, pytając w niepokoju, co znaczy ten sen i prosząc, żeby go wytłomaczył. Edhem-basza padł na kolana i rzekł: „Najjaśniejszy panie, posyłaj statek po Midhata." Fakt ten (dodaje Redakcya) charakteryzuje stosunki wschodnie a zwłaszcza też tureckie. Jak za czasów Faraonów w Egipcie, wierzą tam w sny i wielką do nich wagę przywiązują."

Według tego przypisku do anegdoty zdawałoby się, że redakcya uważa wiarę w sny za przesąd wschodni, który był na swojem miejscu za czasów Faraonów w Egipcie, ale nie za panowania Tromtadratów we Lwowie. Tymczasem w tymże numerze, tuż obok, czytamy co następuje: „Piękny poemat *Sen w Bałkanach* przez Karola Brzozowskiego, *który* drukowaliśmy w „Ruchu Literackim", dedykowany Janowi Matejce, wyszedł w osobnem odbiciu. Sen ten, *który* miał rzeczywiście poeta, był przepowiednią rzezi bałkańskiej 1876 r. *która* miała miejsce w tej samej okolicy, w *której* owo senne widzenie nawiedziło poetę."

Drugie pytanie:

Co redakcya *Ruchu Literackiego* nazywa „zbyteczną drażliwością?" W tymże numerze w artykule wstępnym czytamy że „człowiekowi dotkniętemu tą niemocą w *zgryźliwości* swej i *niekontentowaniu,* zdaje się najczęściej, że wszyscy wzięli go sobie za cel... Za każdą więc chociażby najsłuszniejszą uwagę, za każdą najłagodniejszą krytykę, za każde przypomnienie *wpada zaraz w gniew i w oburzenie* etc."

A zatem to się nazywa być „zbytecznie drażliwym." Ażeby zaś dać przykład redakcya tak pisze: „Nasi delegaci, posłowie i mężowie stanu w drażliwości swojej posuwają się niekiedy tak daleko i przychodzą do takiej skoalizowanej *solidarności,* że podciągnąwszy raz na zawsze wszelkie uwagi i krytyki, dochodzące do nich pod głos ulicy *zupełnie się z niemi obliczać nie raczą* zapominając, że jako delegaci i reprezentanci, z wyborów wyszli."

Zatem, zbytecznie drażliwym jest ten, który o byle krytykę wpada w gniew i oburzenie a także i ten który na żadne krytyki nie zważa. Co było do okazania.

Trzecie pytanie:

Czy według Redakcyi „Ruchu Literackiego" papież jest nieomylnym czy też nie? Według pojęcia zwykłych śmiertelników nieomylnym jest ten który się mylić nie może, ponieważ zaś *sędzia,* wydający wyrok może się omylić, przeto przeciętni śmiertelnicy wnioskują z pewnem uzasadnieniem, że nie jest nieomylnym. Tymczasem w tymże Nrze Ruchu w klasycznym artykule „O potrzebie kształcenia się w pojedynczych gałęziach nauk" czytamy między innemi: „Zapreczamy nieomylności głowie kościoła, bo *widoczna ułomność człowieka* tak nam sądzić każe, a zapominamy iż nawet sędzia polubowny, na którego strony się zapisują *bezwarunkowo, jest tem samem nieomylny.*" Zatem gdyby krytycy *zgodzili się na zdanie* Ruchu Literackiego tak jak strony na wyrok sędziego, to byłby on tem samem bezwarunkowo nieomylnym. Teraz dopiero rozumiemy dlaczego „Ruch" rozbierając pytanie, czy należy podpisywać adres do Venturego czy też do Papieża, odpowiedział że należy podpisać i jeden i drugi. Tym bowiem sposobem obie strony sporne mogą się zgodzić na zdanie Ruchu jako sędziego polubownego, który *tem samem bezwarunkowo* stanie się nieomylnym. Gdy zaś ta błoga chwila nastąpi, ukaże się niewątpliwie nowy artykuł „O szkodliwości kształcenia się w logice."

* * *

Rektorem Akademii Technicznej na rok przyszły wybrany został prof. Julian Zachariewicz, którego odczyt drukujemy obecnie w Tygodniu. W Uniwersytecie zaś wybory Dziekanów wypadły jak następuje: na wydziale filozoficznym większość głosów otrzymał dr. Ogonowski, na wydz. teologicznym dr. Sarnicki a na prawniczym dr. Źródłowski.

Rozkład ciał organicznych.

Życie powszednie przedstawia wiele kwestyj, na które nie zwracamy takiej uwagi na jaką bez zaprzeczenia zasługują. Do tej liczby należy kwestya gnicia i butwienia organicznych substancyj, o ktorych ogół bardzo nieokreślone posiada pojęcie; nie wie o licznych i mozolnych pracach uczonych dokonanych dla wyjaśnienia przyczyn powyższych procesów, a przecież kwestya ta w ścisłym pozostaje związku z hygieną i niepowinna być obojętną żadnemu wykształconemu człowiekowi.

Zamierzam przeto w jak można najkrótszym zarysie wyjaśnić proces gnicia, wykazać doniosłość kwestyi pod względem hygienicznym i nareszcie wspomnieć o środkach powstrzymujących gnicie, środkach jakie nauka dzisiejsza zdobyła. Wyraz „gnicie“ oznacza dzisiaj taki proces rozkładu materyj organicznych, którego rezultatem jest wytwarzanie się amoniaku, siarku amonu, siarkowodoru i innych bardzo nieprzyjemnej woni produktów. W procesie tym wszystkie wytworzone związki nie utleniają się, czyli nie łączą się z tlenem powietrza, co służy do odróżnienia procesu gnicia od butwienia. Butwienie jest procesem rozkładu substancyj organicznych takim, że wszystkie produkta wytworzone utleniają się kosztem tlenu powietrza, a ponieważ palenie się ciał jest również utlenieniem się energicznem ich składowych części, więc butwienie można porównać do bardzo powolnego palenia się bez płomienia, właściwie tlenia się, gorzenia. Gnicie przy zmianie warunków może przechodzić w butwienie i naodwrót. Tą własnością, że jedne i też same ciała przy takich a takich warunkach gniją, a przy innych butwieją, praktyka umiejętnie się posługuje. Naprzykład dla roślin w inspektach uprawianych potrzebne jest przedewszystkiem pewne ciepło i dla tego nawóz w tym razie nakrywa się warstwą ziemi, która ochrania go dostatecznie od przystępu powietrza a przez to niedozwala gniciu przejść w powolne palenie czyli butwienie, przy którem wywiązane ciepło nie jest tak długotrwałem jak przy pierwszem. W innym zaś przypadku, gdy nie chodzi tyle o ciepło wywiązane w skutek gnicia ile o ostateczne produkta rozkładu, które mają służyć za pokarm uprawianym roślinom, dozwala się procesowi gnicia przejść w proces butwienia. Stosownie do tego celu rolnik rozkłada nawóz na powierzchni pola, aby nawóz ten miał możność najzupełniejszego utlenia się a przez to dostarcza roli materyałów przez nią utraconych na poprzednią a niezbędnych dla przyszłej wegetacyi.

O gniciu i butwieniu oddawna już wiedziano, ale dopiero dzisiejsza nauka poznała do pewnego stopnia przyczyny wywołujące powyższe procesa. Dawniej mówiono, że pewna nieokreślona siła spowodowywa gnicie materyj organicznych. Samo się przez się rozumie, że podobne tłomaczenie zjawiska nie było w stanie niczego wyjaśnić i dowodziło tylko grubej pod tym względem niewiadomości. Dopiero uczeni Pasteur i Hallier licznemi swemi doświadczeniami dowiedli, że przyczyną gnicia są ciała uorganizowane należące do niższych organizmów, które przez życiową swoję czynność i rozwój wywołują w pewnych substancyach proces gnicia i podtrzymują go aż do końca, tj. aż do zupełnego ich rozkładu. Rola tych niższych organizmów, grzybków w procesie gnicia jest podobną do tej jaką odgrywają w procesie alkoholowej fermentacyi; dostawszy się do materyj organicznych zaczynają żyć i rozwijać się ich kosztem, a więc elementami z których się one chemicznie składają, przez co naruszają ich związek i zmuszają niejako materye do rozpadania się na nowe związki, wywołują gnicie.

Hallier badał organizmy rozwijające się w ciałach gnijących i doszedł do tego wniosku, że wszystkie powstają z pleśni, przyjmują tę, lub owę jej formę stosownie do gruntu, na jaki natrafiają i warunków, w których muszą żyć i rozwijać się. Pleśń ta podobna do aksamitu, niebieskiego koloru z zielonym odcieniem zowie się Penicillium glaucum. Mucor crustaceus wytwarza się na wszystkich organicznych ciałach pozbawionych przez czas dłuższy światła i umieszczonych w miejscu wilgotnem tak np. na serze, maśle, chlebie itp. Patrząc na Penicillium przez mikroskop możemy zauważyć, że pleśń ta składa się z włókienek zakończonych pendzelkami. Włókienka i pendzelki napełnione są protoplazmą, materyą na wpół płynną podobną składem swoim do białka (albuminu) zwyczajnego jajka. Materya ta gęstniejąc, tworzy ziarneczka, które są zarodkami (sporami) nowych organizmów. Komórka Penicillium dostawszy się do wody pęka i wyswobadza zamknięte przedtem ziarneczka, które rozwijając się dostają rzęsy (cieniutkie włoski) za pomocą których mogą się poruszać, co trwa zresztą niedługo z powodu, że ziarneczka zaczynają się dzielić. Podział ten jest całkowity albo też niezupełny, W pierwszym razie z jednego ziarnka powstaje kilka swobodnych i oddzielnych włókienek, w drugim zaś przypadku włókienka są ze sobą połączone, przedstawiając jakby rodzaj łańcucha. Komórki pierwszego rodzaju zowią się rzęsowemi a drugiego łańcuszkowemi (Leptotrix). Pierwsze dostawszy się do zacieru, piwnej beczki itp. zmieniają swą postać, wydłużają się i na końcach przewężają. Zwężenia te coraz stają się głębszemi. wyraźniejszemi, aż nareszcie sprowadzają zupełne oddzielenie końcowych części od samych komórek. Oddzielone tym sposobem końcowe części rozmnażają się dalej nadzwyczajnie prędko za pomocą podziału, i stanowią to co nazywamy drożdżami (cryptococcus cereviae). Komórki rozwijające się przy utlenianiu się alkoholu na ocet występują w innej formie mianowicie w formie błonki składającej się z ogromnej ilości przewięzujących się wzajemnie włókienek. W kwaśnem mleku komórki Penicillium mają formę czworokątną i nazywają się Oidium lactis.

Komórki Penicillium dostawszy się do organizmu człowieka lub zwierzęcia, rozwijają się w sposób bardziej jeszcze rozmaity i są powodem najprzeróżniejszych chorób. Rozwijając się np. pod włosami sprowadzają wysypki. Rzęsowe komórki unosząc się w powietrzu i dostawszy się do organizmu, człowieka, są powodem cholery choleryny i t. p.

Hallier licznemi doświadczeniami fakt ten najzupełniej stwierdził. Wydobywał on z ekskrementów cholerycznych grzybki, uprawiał w odpowiednich warunkach i przekonał się, że one rozwijają się w formę penicilium. Komórki łańcuchowe (Leptotrix) są przyczyną zarazy morowej (dżumy) i syberyjskiej.

Znajdowanie się niższych organizmów w gnijących organicznych ciałach i w organizmie zwierząt z początku było zagadkową rzeczą dla uczonych. Przypuszczali oni, że organizmy te wytwarzają się tutaj same przez się, bo nie byli w stanie wskazać źródła, z którego one powstają. Tajemnica ta została wyjaśnioną przez Pasteur'a, który dowiódł, że organizmy o których mowa, dostają się z powietrza, w którem unoszą się całe miryady ich zarodków. Zarodki te dostawszy się do organicznych materyj, znajdują w nich odpowiedni grunt dla siebie, rozwijają się więc i rozmnażają. Potomstwo ich za pomocą gazowych, nieprzyjemnie woniejących produktów, wytworzonych przez proces gnicia, jako miazmaty zostaje uniesione, i tym sposobem znowu w powietrzu się znajduje. Z tego widzimy dla czego miazmaty tak są szkodliwe dla człowieka i w ogóle dla zwierząt. Wnoszą one bowiem do organizmów zdrowych miryady zarodków, które rozwijając się kosztem organizmu, wywołują w nim chorobliwe zaburzenia. Aby zapobiedz tego rodzaju chorobom, należy popierwsze: powstrzymać gnicie jako główne źródło zła a powtóre: niszczyć unoszące się w powietrzu zarodki pasożytów.

Wychodząc z tej zasady należy zwracać uwagę na to szczególnie, aby w mieszkaniach zawsze było powietrze odświeżane zapomocą rozsądnie urządzanej wentylacyi, żeby powietrze zużyte i napełnione zarodkami niższych organizmów, wytworzonemi przy rozkładzie resztek pożywienia, ekskrementów i t. p. zastąpić świeżem i czystem. Nie dosyć na tem — należy bacznie uważać na sam pokarm, którym się żywiemy, na wodę którą pijemy. O wpływie tej ostatniej na zdrowie przekonywa nas dobitnie zdarzenie, które miało miejsce w Londynie. „Mieszkańcy miasta tego używali wody rzecznej sprowadzanej przez dwa towarzystwa, z których jedno czerpało wodę przy wejściu Tamizy do miasta, gdy drugie brało wodę przy wyjściu. Śmiertelność między mieszkańcami pijącymi wodę dostarczoną przez pierwsze towarzystwo, było daleko mniejsza, niż śmiertelność między używającymi wody sprowadzanej przez drugie.“ Z początku nie zwracano na to uwagi, aż dopiero gdy w skutek pewnych powodów wszyscy prawie mieszkańcy przymuszeni byli pić wodę, sprowadzaną przez drugie towarzystwo, zauważono, że śmiertelność ogromnie się powiększyła. Przyczyną tej, jakby epidemii, okazała się właśnie ta woda unosząca w sobie wszystkie gnijące nieczystości wyrzucane do Tamizy z miasta. Woda ta okazała przerażającą mnogość pasożytów.

Gnicie i ostateczne jego produkty, tak szkodliwie działające na organizm, można powstrzymywać i niszczyć za pomocą rozmaitych środków, które zabijają niższe organizmy, albo też usuwają nieprzyjemnie na organ węchu działające gazowe gnicia produkta.

Do liczby środków ostatniego rodzaju, należy przedewszystkiem koperwas żelazny (siarczan żelaza), jako najtańszy. Działa on w ten sposób, że jedna część jego, mianowicie żelazo, łączy się z produktami gnicia, zawierającemi siarkę: siarkowodorem, siarkiem amonu, gdy tymczasem druga część, tj. kwas siarczany łączy się z amoniakiem. Zwykle używa się koperwasu żelaznego pod postacią wodnego roztworu. Środkiem kosztowniejszym i tak samo działającym jest chlorek cynku. Za pomocą wypalonego (kaustycznego) wapna można usunąć kwas węglany, wytwarzający się przy gniciu i unoszący w sobie pasożyty.

Uważam za stosowne wspomnieć w tem miejscu o niedawno wynalezionym środku usuwającym nieprzyjemny zapach ran. Środek ten tem jest ważniejszym, że dotąd nie znano związku

chemicznego działającego w ten sposób; jest on prawdziwem dobrodziejstwem, bo zapomocą niego możemy niszczyć szkodliwe miazmata wytwarzające się z ropiejących ran, np. w szpitalach. Profesor Böttger doszedł, że wata namoczona w roztworze nadmanganianu potasu, położona na ropiejącą ranę prawie natychmiast odejmuje jej nieprzyjemny zapach. Dokonał on wiele doświadczeń i przyszedł do tego wniosku, że nie można znaleźć lepszego na to środka.

Niszczenie pasożytów znajdujących się tak w gnijących materyach jako też w atmosferze je otaczającej, dokonywa się za pomocą bardzo licznych ciał. Jedne z nich wywiązują wiele tlenu, który zabija niższe organizmy; inne znów odbierają ciałom gnijącym ten materyał, którym się pasożyty żywią. Jak w jednym tak i w drugim przypadku niższe organizmy giną. Środki te są następujące: kwas siarkawy, kamfora, kwas karbolowy, krezolowy i inne. Kwas siarkawy używa się dosyć często; kamfora rzadziej z powodu swej stosunkowo wysokiej ceny; kwas karbolowy zaś coraz większe znajduje tu zastosowanie. Ten ostatni jest najlepszym; wchodzi w skład wszystkich, tak zwanych dezynfekcyjnych proszków i najenergiczniejszym jest antiseptycznym (powstrzymującym gnicie) środkiem. Widać to z następujących doświadczeń opisanych w „Chemical News“ za 1870 r.

Kawałki mięsa zawieszano w naczyniach, na dnie których umieszczano wiadome ilości tego lub owego antyseptycznego związku. Każdego dnia obserwowano mięso i powtarzano te obserwacye od chwili pojawienia się na niem pierwszych plam, oznak psucia się, aż do zupełnego gnicia. Wypadki były następujące:

przy zastosowaniu	mięso psuło się	mięso gniło
nadmanganianu potasu	po 2 dniach	w 4 dni
Chlorku wapnia	14	21
Kwasu karbolowego i krezolowego.	(mięso nie ulegało zepsuciu	(i gniciu, tylko wysychało.

Kwasu karbolowego używa się pod postacią roztworu, który się wlewa w naczynia i stawia w miejscach miazmatycznych, albo też oblewa się nim gnijące materye.

Samo się przez się rozumie, że w tym krótkim artykule nie mogłem umieścić wszystkiego coby dzisiaj o procesie gnicia powiedzieć można było, pragnąłem przedewszystkiem przedstawić w najkrótszym zarysie ważniejsze fakta procesu gnicia, zdobyte licznemi a mozolnemi badaniami uczonych. Chcąc bogaty ten przedmiot wyczerpać, trzebaby chyba cały tom napisać i traktować go specyalnie podług wymagań najnowszych naukowych pojęć, a tem samem pisać go nie dla ogółu lecz dla szczupłego specyalistów grona. *W. K.*

TYDZIEŃ WARSZAWSKI.

XIII.

Wyobraźcie sobie szeroką i ruchliwą wstęgę naszej płowej Wisły, przepasaną dwoma kratowanymi mostami. Po za nią domy i domki przedmieścia Pragi z górującą nad wszystkiem czerwono-żółto-zielononiebieską cerkiew ze złotemi kopułami, które blask zachodzącego słońca rozpala; na lewo w oddali murawą pokryte wały i czerwone mury cytadeli, a bliżej wspaniały taras ogrodowy królewskiego zamku, ukrywający pod sobą rozległe stajnie czerkieskie — nareszcie kręty zjazd, zniżający się ku Wiśle, tłumy ludu oparte o baryery żelazne, tłumy zalegające brzeg kamienny wyżej i niżej, tłumy na moście kratowanym, tłumy z drugiej strony rzeki — a ponad tem wszystkiem śliczne niebo czerwcowe z przeświecającemi już gwiazdami.

Obchodzimy wigilią św. Jana.

W jaki sposób? Sądzicie może, że jak przed lat tysiącem płoną stosy łuczywa, beczki smolne oświecają twarze chłopców i dziewcząt pląsających koło ognia, a Wisłę zasypują krocie wianków i kwiatów?

Gdzietam!

„Sobótki“ dawno już nie ma, a „Wianki“ dziś ostatecznie upadły Upadły nie w znaczeniu dosłownem, bo nikt ich nie rzucał na Wisłę — upadły tak jak upada stara wiara i obyczaj przodków — zapomniano o nich.

I oto wigilia tegoroczna stała się dniem przełomu pomiędzy starym obyczajem a nowym. Któż go wywołał?

— *Yacht-klub!*

Przyznacie, że to wcale nie żaden bożek słowiański. Przebacz mu wielka bogini Kupało! Wypędzono cię z nad płowej Wisły i dziś Yacht-klub urządza *Regaty* zamiast *Wianków*...

Na środku rzeki obok mostu zatknięto wielką flagę, a dalej ku cytadeli powiewają mniejsze chorągiewki, zygzakowato rozrzucone nad wodą.

Przy owej wielkiej fladze znaczącej metę, stanął wielki galar, przybrany w barwy Yacht-klubu, a liczne szeregi krzeseł zajęli jego członkowie, ich żony i goście.

Z wybiciem godziny ósmej, zamiast chóru dziewcząt ozwały się dźwięki orkiestry, i oczy tłumów zwróciły się w kierunku cytadeli, zkąd ukazały się dwie łodzie wyścigowe: błękitna *Aryadna* i czerwona *Mewa*. — Na łódce sędziów obok mety zasiedli w miejsce słowiańskich wróżbitów pp. Le Brun, Bielicki i Jacobson. Dwanaście wioseł uderzyło o powierzchnię wody i dwie łódki pomknęły naprzód, zostawiając za sobą dwie smugi faliste.

Można już było odróżnić szare koszulki wioślarzy *Mewy* i słomiane kapelusze *Aryadny*.

Czerwona czy błękitna?.. szeptał tłum.

Doniosłość uroczystości słowiańskiej polegała tym razem na tem, czy zwycięży pan *Ulrich* czy pan *Althann*...

Cała nasza flota z Saskiej Kępy „Kuryer Codzienny“ i „Warszawski“ „Jan Sobieski“ i Kopernik“ wypłynęły na bok tworząc amfiteatr i z bijącym sercem oczekując rezultatu.

Czerwona górą! Niech żyje! Sypią się oklaski i kwiaty, muzyka grzmi tryumfalnego marsza a pobita *Aryadna* dociąga do mety spóźniwszy się o 1 m. i 15 sek.

Ale lud nie myśli jeszcze ustępować — pary i parki rozchodzą się tylko wzdłuż brzegu spoglądając to na wodę to na niebo upstrzone gwiazdami.

A wianków jak nie ma tak niema!

Gdyby tak owe brudne brzegi Wisły, zasypane stosami belek, śmieci i „piasku białego wiślanego“ zamienić na wiedeńskie lub paryzkie bulwary, wysadzić drzewami, wybrukować, upiększyć willami i pałacami, oświetlić gazem, ożywić tramwayami, dopierożby ludek cisnął się i szumniał; spłoszonoby wprawdzie samotnych kochanków ale co tam cywilizacyi do czyich miłostek, Warszawa byłaby wprawdzie wspaniałem miastem!

Myślicie że to wszystko marzenie? Wcale nie— to projekt bardzo bliski urzeczywistnienia.

Kompania belgijskich inżynierów i finansistów podejmuje się to wszystko uskutecznić, żądając tylko od miasta dwu rzeczy:

1. Skierowania biegu Wisły nieco więcej ku brzegowi warszawskiemu, i

2. Bezpłatnego oddania placów nadbrzeżnych *na lat 50.*

Po 50-ciu latach Towarzystwo oddaje Warszawie nową ulicę z gmachami, wodąciągami, tramwayami, bez żadnych dalszych pretensyj.

Tanio czy drogo?

BIBLIOGRAFIA

polska.

— Sprawozdanie z wystawy płodów gospodarstwa wiejskiego 1874 r. w Warszawie. Przekład z rosyjskiego. 8ka str. 407 z planem wystawy. Warszawa 1876. 3·40.

Zawiera: Wstęp. Płody rolnicze. Płody ogrodnicze. Płody leśne i torfowiskowe. Konie. Bydło. Owce. Nierogacizna. Psy. Drób Ryby i rybołówstwo. Pijawki i pijawczarstwo. Pszczelnictwo i jedwabnictwo. Płody przemysłu rolnego i leśniczego. Machiny, przyrządy i narzędzia rolnicze, oraz popisy pracowników przy roli. Plany i modele budowli wiejskich, oraz materyały budowlane niepalne. Wzorowe gospodarstwa i rachunkowość gospogarska. Annexa dołączone do sprawozdania.

— Warszawski rocznik literacki poświęcony oświacie, literaturze, bibliografii i księgarstwu, rok piąty 1875. 8ka str. 284. Warszawa 1877 1·80.

Zawiera: I oświata. Pogląd ogólny na ruch umysłowy w roku 1875. Żyriorysy i nekrologia. Towarzystwa naukowe i oświaty. Uniwersytety. Akademie i szkoły wyższe specyalne. II. Literatura i bibliografia. Przegląd bibliograficzny głównych gałęzi piśmiennictwa 1875 roku. Dopełnienie bibliografii 1874 r. III. Księgarstwo. Życiorysy i nekrologia. Wykaz geograficzny ważniejszych księgarni.

— Żmichowska Narcyza. Czy to powieść? dzieło pośmiertne. 8ka str. 248. Warszawa 1877 1·70.

— Szekspir William. Dzieła dramatyczne, wydanie zbiorowe, zeszyt 49 i 50. Warszawa 1877. 1·—

Z temi zeszytami ukończone zostało wydawnictwo, które objęło 3 duże in 4o tomy. Przekładu dokonali St. Koźmian, J. Paszkowski, i L. Ulrich. Redakcyą prowadził i życiorysem opatrzył J. I. Kraszewski. Illustracye, których jest w dziele 545 rysunku H. G. Selousa. Całe dzieło kosztuje 25 zlr.

— Moniuszko Stanisław. Siódmy spiewnik domowy, zawierający 24 pieśni do słów Mickiewicza, Syrokomli. Żeligowskiego, Czeczota. Wolskiego, Jachowicza, Brodzińskiego, Szymanowskiego i w. in. 7.50.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— D. 17 czerwca komisya konkursu dramatycznego w Poznaniu przyznała nagrodę w kwocie 600 marek autorowi dramatu „Kiejstut. Po otworzeniu koperty przekonano się, że tym autorem jest dr. Adam Asnyk (Stożek. El..y). Udzielono pochwałę (z zaleceniem do grania) tragedyi Gorysława,“ której autorką jest p. Eliza z Rulikowskich Tuszowska, znana w literaturze pod pseudonimem Juliana z Poradowa. Nadto Komissya zaleciła do grania komedyą p. t. „Dla dobra ogółu“, napisaną przez Jordana, autora „Wędrówek Delegata,“ „Konesserów,“ „Błagi“ i t. d. Pozostało więc 900 marek z przeznaczonych na tegoroczny konkurs 15.000 mar. Komisya wyraziła wniosek, aby suma ta użyta została na nowy korkurs dramatyczny.

— Z Pragi donoszą pod dziem 7 czerwca. Dziś na deskach tutejszego teatru występowała w Hugonotach po raz ostatni słynna śpiewaczka Lucca która, jak wiadomo, zamierza poświęcić się odtąd w zupełności sprawom i obowiązkom życia prywatnego. Publiczność zgromadziła się tłumnie w teatrze. Dyrekcya i świat wykwintny obdarzył artystkę wieńcami, tudzież mnóstwem bukietów. W międzyaktach deputacye składały jej na scenie hołd pożegnalny. Lucca, w odpowiedzi swej, dziękując za uznanie, nadmieniła, że rozstaje się ze sceną umyślnie w tem samem mieście, które było pierwszym świadkiem początków jej zawodu. Po skończonem widowisku, tłum zebrał się przed teatrem, w celu urządzenia artystce tryumfalnego powrotu do domu; ale pani Lucca, chcąc uniknąć owacyi wyszła niepostrzeżenie z teatru, i ubocznemi ulicami wróciła do swego mieszkania.

— Z Egiptu donoszą, że obelisk „Igła Kleopatry“ już jest wykopany. Roboty zostały ukończone zupełnie 7 b. m. Wierzchołek obelisku utracony na 18 cali, kąty są uszkodzone; zresztą obelisk znajduje się w dobrym stanie.

— Gazeta Sądowa w Nr. 24 rozpoczęła druk, zajmującej pracy: „Krótki pogląd na sądownictwo austryackie w Galicyi od roku 1772 aż do chwili obecnej“ — przez Mikołaja Kańskiego, adwokata krakowskiego.

— „Spotkanie na morzu“ obraz Hermana Szneidera, wystawiony obecnie w Monachium, robi wielką furorę, w kołach artystycznych wiele mówią o nim.

— Na posiedzeniu komisyi językowej w Akademii Umiejętności w Krakowie przybrany został na członka tej komisyi Dr. Lucyan Malinowski b. stu-

dent warszawskiej szkoły głównej a ostatnio nauczyciel gimnazyum w Warszawie, powołany do Krakowa na profesora Uniwersytetu Jagielońskiego.

— Na posiedzeniu komisyi archeologicznej akademii krakowskiej w dniu 18. czerwca poruczono ks. kanonikowi Polkowskiemu zajęcie się czynnościami przygotowawczemi w sprawie opracowania „Encyklopedyi Starożytności Polskich“.

Towarzystwa naukowe.

— Dnia 21. czerwca odbyło się walne zgromadzenie Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Według dorocznego sprawozdania z wydziałów, odznaczyły się głównie historyczny i lekarski. Pierwszy, nie już raz na miesiąc, ale dwutygodniowe miewał posiedzenia. Wydział przyrodniczy objawiał także większe niż w przeszłem półroczu ożywienie. Do tych trzech przystąpił w ostatnich miesiącach wydział ekonomiczno-statystyczny. „Wydział ten, zapewni wszysobie poparcie i współudział znakomitszych naszych ekonomistów, chociaż według ustaw naszych nie wolno mu zajmować się bieżącemi sprawami publicznemi, czego ściśle przestrzegać będziemy, może przecież oddać wielkie usługi społeczności naszej tak mało jeszcze obeznanej z teoryą i naczelnemi zasadami tyle pożytecznej umiejętności. Ponieważ coraz bardziej rozszerza się czynność wydziałów, a zatem i coraz potrzeby, Zarząd przeznaczył każdemu z nich rocznie 90 marek subwencyi na pisma peryodyczne i książki. Prace wydziałów dostarczyły już obfitego zasobu do przyszłego Rocznika, który rozpocznie się drukować zaraz po dwumiesięcznych feryach, tak, iżby z końcem roku mógł być doręczony członkom. Druk dyplomataryusza wielkopolskiego raźnie postępuje. Już większa połowa tomu pierwszego odbita. Gorliwy nasz członek i całkiem temu przedsięwzięciu oddany, pan Ignacy Zakrzewski, otrzymał już niejaką nagrodę, droższą dla badacza przeszłości ojczystej nad inne, bo odkrył już po rozpoczęciu druku, kilkadziesiąt nieznanych dotąd a bardzo ważnych dokumentów, które sięgają najdawniejszych czasów. Tom przeto dodatkowy będzie niezbędnym. Oddawna staraniem Zarządu było ustalić stosunek Towarzystwa do kuratoryum funduszu ś. p. Bredkrajcza, abyśmy mogli stanowczo wiedzieć, jakiej i w jakich terminach możemy się spodziewać z tego źródła pomocy. Zawiązaliśmy przeto w przeszłem półroczu częstszą z sz. kuratorami korespondencyą, wzywając ich, aby sami oznaczyli ten stosunek, i zapewniając, że ufni w ich gorliwość dla dobra publicznego chętnie się ich postanowieniom poddamy. Kuratoryum zebrało się na dniu 13. czerwca i przesłało nam bezzwłocznie swą uchwałę, której treścią jest, że nie biorąc na siebie żadnych stałych zobowiązań na przyszłość, skwapliwie każdorazowe podanie Zarządu o subwencyą weźmie pod uwagę. Zaś co do wynurzonego przez nas życzenia, aby dotąd zebrana suma z zaległych procentów obrócona bezpośrednio została: 1. na konkurs historyczny; 2. na wydanie Libri Beneficiorum Łaskiego — kuratoryum odpowiedziało, że co do pierwszego przychylić się nie może, a na drugie przeznacza 2400 marek. Tak więc mamy zapewnione już wydanie i Dyplomataryusza wielkopolskiego przy hojnej pomocy pieniężnej hr. Jana Działyńskiego, który wziął na siebie koszta druku i Libri Beneficiorum Łaskiego, dzieł oddawna tyle pożądanych, które niezawodnie staną się obfitem źródłem dla poszukiwań historycznych; i choćby w dziale publikacyi Towarzystwo nic innego już nie uskuteczniło, to dwa te monumentalne świadectwa zaszczytnie naszę instytucyą w dziejach literatury upamiętnią. W ostatniem półroczu następujący członkowie pomnożyli grono nasze: Książę Czartoryski Adam (syn), p. Hochberger z Poznania, p. Karliński Emil z Żabikowa, dr. August Mieczkowski z Wrocławia, książę Ferdynand Radziwiłł, p. Ruciński z Poznania, dr. Skrzyński Witold z Wrocławia, p. Unrug Wiktor z Mełpina. Książę Ferdynand Radziwiłł zapisał się do członków-fundatorów, to jest, do płacących na rok 600 mark. „Gdy nikt nie zabrał głosu nad odczytanem sprawozdaniem, z kolei porządku dziennego sekretarze wydziałów: historycznego, lekarskiego, przyrodniczego i ekonomicznego zdali sprawę z czynności rzeczonych wydziałów; dział lekarski liczy członków 60, co małą stanowi liczbę w stosunku do ogółu lekarzy Polaków w księstwie, których liczba dochodzi do stu dwudziestu; dalej, że wydział ten odbył w ubiegłem półroczu sześć posiedzeń, na których członkowie czytali naukowe rozprawy i udzielali sobie wzajemnie spostrzeżeń z praktyki lekarskiej. Wydział zaś przyrodniczy odbył cztery posiedzenia, i liczy członków 30. Dalej konserwator p. Feldmanowski zdając sprawę z swych czynności nadmienia, że uporządkowanie zbiorów Towarzystwa dla szczupłości obecnego lokalu nie mogło nastąpić, wszakże czyni się w tym względzie co możliwe. Zawiadamia dalej, że zbiory się powiększają, następnie, że dostarcza materyały bibliograficzne p. Estreicherowi w Krakowie, i że w ciągu zeszłego półrocza zwiedziło zbiory Towarzystwa przeszło 40 osób obcych. Wreszcie nadmienia, iż obecnie sporządza spis wszystkich rysunków i rycin malarza Orłowskiego i takowe przesyła do Lwowa, gdzie zamierzają uczcić stuletnią rocznicę urodzin tego znakomitego naszego malarza. Następują wnioski członków. P. prezes Koźmian podaje na kandydata członka honorowego Towarzystwa, znakomitego ekonomistę Józefa Supińskiego. Zebrani jednogłośnie wniosek prezesa popierają. Następnie po wyjaśnieniu przez zarząd kilku drobnych szczegółów i wynurzeniu na wniosek przewodniczącego Kantaka zarządowi podziękowania za gorliwość, z jaką pełni swe obowiązki, walne zebranie ukończonem zostało.

Wynalazki.

— *Science pour tous* donosi o pewnym wynalazku, który bez wątpienia cieszyć się będzie wielką popularnością. P. Liétar miał zbudować lampę tego rodzaju, że do knota umieszczonego w osobnym cylindrze, nafta dopływa o tyle tylko, ile jej potrzeba do dostatecznego zwilżenia knota i podtrzymania odpowiedniego płomienia. Masa więc nafty nie jest w bezpośredniem zetknięciu z płomieniem i dlatego też choćby lampa spadła, choćby ją przewrócono knotem na dół, nafta nie wyleje się, a więc nie może się zająć płomieniem.

Wypadki.

— Z Kremienczuga donoszą do „Gołosu“ że niedawno spaliły się tam składy intendentury i artyleryi. Straty wynoszą od 300 do 400 tysięcy rubli. Spaliło się mnóstwo rewolwerów i broni, chociaż starego systematu, ale jeszcze zdatnej do użytku. Śledztwo dotąd nie wykryło przyczyny pożaru.

— Kula ognista w oryginalny sposób jak donosi „Kuryer Codzienny“, przeraziła pobożnych mieszkańców Sandomierza, zgromadzonych w kościele pp. Benedyktynek, podczas oktawy Bożego Ciała. Podczas nabożeństwa, nawałnica zahuczała nad miastem, tak, że zebrani mieszkańcy musieli w kościele wyczekiwać końca ulewy. Nagle ze strasznym łoskotem wpadła do presbiteryum kula ognista, miotając do koła tysiące iskier. Przebiegła po ołtarzach, pod nogami strwożonego ludu, wbiegła do zakrystyi, potem przez wązki korytarzyk wpadła do małej celki, otoczyła ognistemi kręgi będące tam osoby, przedziurawiła mur i zniknęła w kominie. Pomiędzy ludem wszczął się ogromny popłoch, ale piorun chociaż stłukł w ołtarzach kamienie i zerwał tynk w kilku miejscach, nie uczynił ludziom wielkiej krzywdy. Kilkadziesiąt osób doznało uderzenia w stawach rąk lub nóg, niektórzy ponieśli lekkie oparzenia, wielu doznało przemijającej głuchoty. Najsilniej zaś ucierpiały dwie osoby w zakrystyi, które nie słysząc grzmotu, ani widząc ognia, padły bez życia ale zwolna potem przyszły do siebie, a nazajutrz znalazły na ciele czerwone pręgi, gzygzakowato biegnące po ciele, szerokie na trzy palce. Podczas tej burzy, kilka piorunów uderzyło na przedmieściu, nie sprawiając jednakże żadnej szkody.

Stowarzyszenia.

— W Berlinie zawiązało się stowarzyszenie pod nazwą „Hektor“. Nie ma ono żadnego związku z dzielnym bohaterem z pod Troi tego imienia, lecz głównie zajmuje się wychowywaniem psów, któreby na pobojowiskach odszukiwały rannych i dawały o nich znać szczekaniem służbie sanitarnej. Większa część rannych ginie, bądź dla tego, że ich odszukują dopiero w chwili grzebania poległych, bądź że kryją się w zarośla gdzie ich zrazu trudno dostrzedz. Dotąd niezgodzono się jeszcze, jaki rodzaj psów byłby najpowiedniejszym do takiego celu, należy bowiem mieć na względzie oprócz pojętności psa, śmiałość wśród wrzawy bojowej, popęd do wietrzenia i wytrwałość.

Statystyka.

— Gubernia lubelska, według urzędowego wykazu, liczy gmin wiejskich 143. Z tych 93 składa się z samych wsi i osad, a 3 z samych osad. Gmin, mających ludność niższą od 2,000 jest dwie; od 2 do 4 tysięcy 55, od 4 do 6 tysięcy 72, a wyżej 6,000 ludności posiada gmin 14. Z liczby 142 wójtów gmin, piśmiennych było 43, umiejących czytać 12, reszta zaś to jest ośmdziesięciu ośmiu wójtów ani pisać, ani czytać nie umie! Włościan między wójtami 125, mieszczan 16, szlachty 2. Ten sam prawie stosunek pod względem wykształcenia istnieje wśród ławników. Na 337 ławników, 40 jest piśmiennych, 112 umiejących czytać; reszta to jest stu ośmdziesięciu pięciu, ani czyta, ani pisze. Wśród ławników jest włościan 303, mieszczan 32, szlachcic 1. Pisarzy gminnych jest 152; z tej liczby 80 szlachty, 54 mieszczan i 18-stu włościan. Sołtysów jest 1,817.

Przemysł.

— Ze Stanów Zjednoczonych donoszą, że w mieście Kanzas zakłada się fabryka, która ma przyspasabiać mięso... szczurów, i wysyłać je do Chin, w pudełkach blaszanych, podobnie jak sardynki, lub "paszteły z gęsich wątróbek. Trudno podzielać zdanie korespondenta, który twierdzi, że z czasem amatorowie na ten przysmak znajdą się i w Europie.

Inżynierya.

— Kanałowi Suezkiemu zagraża katastrofa, przewidziana zresztą przez techników, jeszcze w czasie, kiedy p. Lesseps nosił się z olbrzymim projektem, przekopania przesmyku. Oto według depeszy z Malty piaski w kanale tak podniosły dno jego, że przy ujściu do morza Śródziemnego już woda jest o 20-cia stóp płytszą, w skutek czego, większe okręty nie mogłyby płynąć tamtędy.

ROZMAITOŚCI.

STRASZNY NAPIS.

(Z Saphira).

Było to w roku... nie pamiętam już którym. Z moim przyjacielem Leonem jechałem do B., aby złożyć wizytę jego narzeczonej. Kochał on ją szalenie i po długiem staraniu pozyskał jej wzajemność i zezwolenie rodziców. Dla mego towarzysza podróż ta była wstępem do wielkiej radości, przedsionkiem nieba, uwerturą wielkiego szczęścia. Cóż dziwnego—jechał do narzeczonej.

Wyjechaliśmy z Wiednia bardzo rano, i nazajutrz po południu, między godziną trzecią a czwartą stanęliśmy w Budzie.

Im bliżej byliśmy celu, tembardziej niecierpliwość Leona wzrastała, a wreszcie gdy wjechaliśmy w wązką, nieskończenie długą ulicę starej Budy, mój towarzysz o mało z bryczki nie wyskoczył.

Musieliśmy się zatrzymać, gdyż orszak pogrzebowy przesuwał się przez ulicę.

— A to fatalność! — zawołał z gniewem Leon — spotkać pogrzeb na drodze do szczęścia!...

Orszak zbliżał się powoli, uroczyście. Na trumnie leżał wieniec kwiatów świeżych, długa biała suknia spływała ku ziemi, świadcząc, że jakaś dusza dziewicza uleciała do nieba.

Leon zadrżał.

— Czyj to pogrzeb? — zapytał żywo, zeskakując z bryczki.

Niestety! była to jego narzeczona. Ten cudny, zaledwie rozkwitający pączek, stał się łupem śmierci. Rozpacz narzeczonego dochodziła do szaleństwa. Pocieszać człowieka w takim smutku jest rzeczą niepodobną. To też nie siląc się daremnie na udzielenie pociechy, odprowadziłem go do familii również boleśnie dotkniętej tym niespodziewanym ciosem. I ja byłem także wzruszony tą straszną igraszką losu, tym tragicznym, a gorzkiej ironii pełnym wypadkiem.

Scena ta poruszyła wszelkie dawno pogrzebane smutki i bole, rozdrażniła zagojone rany, tak samo jak trzęsienie ziemi rozrywa na nowo pozalepiane szpary murów. Zdenerwowany i smutny opuściłem Budę, skąd mnie przeróżne interesa wzywały napowrót do Wiednia.

Był ponury wieczór listopadowy, tak ponury, jak moja dusza w owej chwili, a ciemne chmury ciągnęły powoli po niebie, niby pasmo wspomnień bolesnych. Dolina pomiędzy Raab a Wissenburgiem wydała mi się niby grobowy całun, rzucony na ponurem tle krajobrazu — a Dunaj widniejący zdaleka gubił się w nieprzeliczonych skrętach, rzucając melancholiczny cień na swe ciemne brzegi. Ściemniało się coraz bardziej, aż nareszcie szara noc okryła ziemię. Silny wiatr zerwał się gwałtownie, to też uradowaliśmy się bardzo (pocztylion i ja) stanąwszy około godziny dziewiątej przed nędzną karczemką w osadzie Baratso. Wjechaliśmy do stajni, a po długiem stu-

kaniu szkaradna jakaś kobieta ukazała się we drzwiach gospody i po kwadransie oczekiwania dostaliśmy pokój i światło.

Pokojem była wielka, prawie ciemna izba, w której wiatr wył i huczał przeraźliwie, dostając się przez szpary ręką czasu wyżłobione na drzwiach i okienicach.

Byłam zmęczony fizycznie i moralnie — sen zamykał mi powieki, to też nie tracąc ani chwili, wziąłem cienką świeczkę z rąk zachwycającej gospodyni, ażeby zrobić przegląd drzwi i okien. Potem rozłożyłem na podłodze łosiową skórę, z którą nie rozstaję się nigdy w podróży i ułożyłem się do snu. Miałem właśnie świecę zgasić, gdy dostrzegłem na ścianie kilka słów skreślonych czerwonym ołówkiem. Przybliżyłem świecę i przeczytałem następujące wyrazy:

„Nieszczęśliwy gościu, który zajmiesz po mnie ten pokój, pomyśl ze współczuciem o biednej istocie, co przepędziła tu straszną noc."

Zadrżałem — różne przypuszczenia i domysły przychodziły mi do głowy, gdy patrzyłem na ten napis tajemniczy, którego litery skakały przed memi oczami.

Kto była ta nieszczęśliwa co cierpiała i z jakich przyczyn? — Nie mogłem odgadnąć. Widziałem ją zamordowaną i we krwi zbroczoną, to znów żyjącą w rozpaczy i męczarniach, to jako młodą kobietę, którą wstyd i hańba do rozpaczy popchnęła, to znów jako prześliczną dziewczynę z oczami zamkniętemi snem wiecznym.

Walczyłem ze znużeniem, tworząc w myśli różne widziadła, a chociaż postanowiłem nie zasnąć wcale, natura jednak upomniała się o swe prawa i sen skleił mi powieki. Ale i we śnie nie przestawały mnie trapić obrazy straszliwe; zdawało mi się, że młoda a piękna dziewczyna jęczy pod nożem mordercy, to znów, że para wielkich smutnych oczu skrapia gorzkiemi łzami zwłoki ukochanego, lub, że dziecko maleńkie kona w kolebce, a klęcząca przy niej matka umiera z żalu. Przebudziłem się gdyż usłyszałem jakiś szmer niewyraźny... Zerwałem się na równe nogi.

— Kto tam? — zawołałem donośnym głosem.

Głęboka cisza panowała dokoła, to też zmęczony mój organizm wpadł na nowo w ciężkie półsenne czuwanie, w którem człowiek słyszy i widzi nie mogąc sobie z tego dokładnej zdać sprawy.

Niedługo czekałem — po chwili szmer dał się słyszeć na nowo, ale tym razem daleko wyraźniejszy, a drzwi szafy otworzyły się z łoskotem i ktoś z nich wyskoczył.

Teraz już najwyraźniej mogłem odróżnić odgłos kroków zbliżających się w stronę mego posłania. Nerwowy kurcz ubezwładnił mnie tak, iż nie mogłem się ruszyć — nareszcie, po długich bezowocnych a męczących usiłowanizch krzyknąłem i... obudziłem się.

Znowu była cisza zupełna... Nasłuchiwałem przez chwilę, ale napróżno — i znów zasnąłem, a po chwili doznawałem tych samych wrażeń, które mnie przedtem męczyły.

Słyszałem wyraźnie jakieś bieganie, ale strach i fizyczne osłabienie pozbawiły mnie sił—nie mogłem wstać ani nawet usiąść.

Nareszcie ktoś schwycił kołdrę i ściągnął ją ze mnie... straciłem przytomność.

Silne stukanie do drzwi zbudziło mnie z tego przykrego snu, zerwałem się znowu, wołając

— Kto tam?

Już dniało, pocztylion przyszedł mnie obudzić, gdyż mieliśmy udać się w dalszą drogę.

Zmordowany, podniosłem się z posłania i przebiegając myślą wypadki nocy ubiegłej, próbowałem sobie zdać sprawę, czy to wszystko rzeczywiście miało miejsce czy też tylko było sennem majaczeniem snu zmęczonego organizmu. Ale tajemniczy napis, skreślony na ścianie nieznaną mi ręką, świadczył, że przynajmniej połowa tych zjawisk nie była fikcyą. Wyjąłem ołówek i pod tym napisem dodałem kilka wyrazów.

„Nieznana ofiaro, która tutaj tyle wycierpiałaś, przyjmij odemnie łzę bratniego współczucia. Może się kiedy zobaczymy tam „gdzie panuje radość i wesele".

Konie czekały — zapłaciłem więc rachunek starej, szkaradnej posługaczce, przyglądającej mi się złośliwie, wybiegłem żywo z tajemniczej izby i pojechałem dalej. Przez całą drogę do Wiednia myślałem tylko o zagadkowym napisie.

Potem, gdy wszedłem na nowo w tryb dawnych zajęć, kłopotów i rozrywek, obrazy żywe przesuwające się kolejno przed wzrokiem mego ducha, zatarły w pamięci wspomnienia strasznie spędzonej nocy. Traf wydobył je z tej niepamięci i dodał zakończenie, w formie nauczki zwanej pospolicie sensem moralnym.

Pani Z. bawiąc na letniem mieszkaniu, urządzała majówkę. Zebrało się liczne grono wesołej młodzieży płci obojej.

Z pomiędzy przedstawicielek pięknej połowy rodzaju ludzkiego wyróżniała się panna *** wesołem, żywem usposobieniem, a szczególniej romantyczną interesującą bladością ślicznego o szlachetnych rysach oblicza. Melancholicznem, wilgotnem spojrzeniem swych wielkich oczu przyciągała wszystkich ku sobie.

Byliśmy wszyscy w bardzo wesołem usposobieniu.

W ślicznie urządzonym salonie letnim, ze wszystkich stron otwartym, stał przepyszny fortepian. Zaczęto więc zabawę muzyką i śpiewem, a potem, gdy się już te popisy skończyły, wesołe żarty i śmiechy urozmaicały żywą rozmowę.

Panna ***, blada piękność, była najbardziej ożywioną, jej ruchliwe usposobienie, niewyczerpana obfitość pomysłów, dowcip i dobry humor, wszystko to pociągało nas pomimo woli, powiększając ogólną wesołość.

Niespodziewanie zupełnie nadciągnęła czarna chmura deszczem grożąca i zmusiła nas do opuszczenia altany.

Udaliśmy się wszyscy do dworku. Zamknięto okna i okiennice, a kilka kobiet drżało ze strachu na odgłos piorunów i grzmotów.

Przypomniałem sobie podobną scenę w „Cierpieniach młodego Wertera" i podzieliłem się tą uwagą z panną ***.

— Doskonale — zawołała ze zwykłą żywością, możemy użyć tego samego sposobu, dla rozerwania towarzystwa. Proponuję gry towarzyskie.

Pospieszyłem jej z pomocą i w jednej chwili poustawialiśmy krzesła, z których utworzyło się koło. Wszyscy byli zadowoleni z żywej krzykliwej zabawy, gdyż grzmoty i pioruny nie ustawały, strasząc kilka dam zbyt nerwowych.

— Zagrajmy w liczby, rzekła panna ***, parodyując Goethego.

— Brawo, rzekłem, ale jeżeli pani będziesz Lotą, ja gotów jestem zostać Werterem.

— Z przyjemnością, odpowiedziała figlarka, ale nie zapominaj pan, że Werter powiedział po skończeniu gry: „Czuję i zachwycam się tem, że mnie pani silniej ciągniesz za ucho niż innych. Jeżeli zatem chcesz pan poddać się niebezpieczeństwu, na jakie był narażony Werter, to w takim razie...

I przy tych słowach zrobiła groźny giest maleńką rączką.

— I owszem, odparłem, śmiejąc się wesoło, jeżeli Lota miała tak cudownie białą rączkę jak pani, w takim razie zachwyt Wertera był zupełnie usprawiedliwiony.

Wśród podobnych żartów i śmiechów zabawa ciągnęła się czas jakiś — po tej grze nastąpiła druga i z kolei ustępowała miejsca innej. Nakoniec jedna z dam podała projekt, żeby wszyscy opowiedzieli jakie ciekawe zdarzenie ze swego życia. Projekt został jednogłośnie przyjęty a jako literat, musiałem zrobić początek dla dobrego przykładu. Postanowiłem więc opowiedzieć wypadki straszne, nocy spędzonej w lichym zajeździe Baratso, które na mnie tak silne zrobiły wrażenie. Ubarwiłem dość jaskrawo moje opowiadanie z deklamacyjną patetycznością autora melodramatu lub modnej nowelli. Całe towarzystwo było zaciekawione, wzruszone, a jedna z dam zapytała:

— Jakże brzmiał ów napis?

Powtórzyłem dosłownie wyrazy skreślone na ścianie.

Zaledwie skończyłem mówić, panna *** zerwała się z krzesła, przyłożyła chustkę do oczów i wyszeptała drżącym głosem:

„Nieznana ofiaro, która tutaj tyle wycierpiałaś, przyjmij odemnie łzę bratniego współczucia. — Może się kiedy zobaczymy tam, „gdzie panuje radość i wesele."

Wzruszony i zdumiony schwyciłem jej rękę.

— Na miłość Boga, zawołałem, wybacz mi pani... że... może... obudziłem przykre wspomnienie.

Ona odjęła chustkę zakrywającą jej śliczną twarzyczkę i... wybuchnęła głośnym śmiechem. Stałem przed nią skamieniały, całe towarzystwo otoczyło nas i zarzuciło pytaniami, prosząc o wyjaśnienie tego dziwnego zbiegu okoliczności.

Panna *** uspokoiła się nareszcie i zaczęła opowiadanie, przerywane od czasu do czasu szalonym śmiechem.

Wyjeżdżała ona z Wiednia na kilka tygodni przedemną, do krewnych, w towarzystwie wiernego starego sługi. Pierwszego dnia nie mogąc dalej jechać, zatrzymała się w zajeździe Baratso. Zamknęła się w pokoju, a służący nocował w powozie pilnując rzeczy. Zaledwie położyła się i miała zasnąć, gdy usłyszała jakieś bieganie i stukanie. Usiadła na łóżku, rozglądając się dokoła, ale już hałas ustał i wszystko uciszyło się zupełnie. Tak było kilka razy, aż nareszcie wschodzący księżyc oświetlił pokój i pozwolił przyjrzeć się dokładnie dziwnemu zjawisku. Gromada szczurów wyskoczyła z szafy i rozsypała się na wszystkie strony. Biegały one po pokoju. Wskoczyły na stół, pożerając chciwie resztki wczorajszej kolacyi, a potem zaczęły maszerować tłumnie około łóżka. Strach ogarnął pannę *** — nareszcie zdobywszy się na odwagę, próbowała się bronić. Rzucała na napastników wszystko co miała pod ręką, lichtarz, szczypce, woreczek z pieniędzmi, wszystko spadało z puchowej fortecy, sprowadzając chwilowe zawieszenie broni. Ale odpoczynek ten trwał bardzo krótko, po chwili walka rozpoczynała się na nowo, aż nareszcie panna *** zebrała cały zapas energii, podniosła się na łóżku i zaczęła rzucać na szczurów obrazami zawieszonemi na ścianie izdebki.

Męczący ten pojedynek trwał aż do rana, gdyż widocznie szczury nie miały zamiaru kapitulować, aż nareszcie, gdy stary sługa zapukał do drzwi i posługaczka ukazała się na progu, waleczna armia opuściła dzielnie bronione stanowisko.

Panna *** była prawie bez przytomności ze zmęczenia i strachu, ale jej niewyczerpany dobry humor umiał i z tego zdarzenia skorzystać. Śmiejąc się na cały głos, napisała kilka wyrazów na ścianie i pojechała dalej. Gdy wracając do Wiednia przejeżdżała przez Baratso, zatrzymała się tam umyślnie, aby zobaczyć pokój, w którym noc przepędziła. Jakaż była jej radość, gdy ujrzała, że żart powiódł się doskonale.

Była niemniej ciekawą wiedzieć, kto to był tak wrażliwym dzieciakiem, dając się złapać w sentymentalną łapkę.

To ja nim byłem.

Całe towarzystwo śmiało się bez końca, wszyscy żartowali ze mnie, dodając różne uwagi. Panna *** śmiała się także i rzekła do mnie:

— Widzisz pan, że rzeczywiście spotkaliśmy się tam „gdzie panuje radość i wesele."

— Złośliwe stworzenie! zawołałem z gniewem.

Ona się śmiała...

Od Redakcyi.

Z powodu licznych zajęć Dr. Julian Ochorowicz począwszy od przyszłego numeru usuwa się z redakcyi, nie przestając być jednak i nadal współpracownikiem „Tygodnia".

Treść Nr. 43.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.